

nieco-dziennik etyczny

listopad 2016

Reportaż

Maciej Różalski / ilustracja Maciej Pyrzanowski

Przedział...



PRZEDZIAŁ kolejowy, czas nieistotny, może tylko wypada wspomnieć, iż były to czasy ośmiomiejscowych przedziałów, a o IC nikt jeszcze nie słyszał. Pociąg pędzi gdzieś między polami rzepaku. Przede mną siedzi starsza kobieta. Oczy przymknięte, coś przesuwając między palcami. Różaniec. Reszta przedziału śpi lub też, jak ja, czyta książki. Wyglądam przez okno i po chwili wracam do czytania Diuny.

Podobny przedział, nieco inny czas. Pociąg rusza z Centralnego, miejsca zapelniają się. Dosiada się pani, podobna wiekiem, zajmuje swoje miejsce, pociąg toczy się po torach węzła warszawskiego. Naraz pani rzuca pytaniem, czy towarzyszą z przedziału będzie przeszkadzać, jeśli się pomodli. Wzruszenia ramion, gremialne „nie”. Czy ktoś się przyłączy?... Kolejne „nie”. Pani baci na kolana i zaczyna modlitwę. Reszta przedziału oczy w słup – pani raczy się modlić na cały głos. No, kilka minut przecież da się wytrzymać. Po kilkunastu minutach ktoś nieśmiało prosi, by pani modliła się nieco ciszej. W odpowiedzi pełne oburzenia spojrzenie i... kilka kolejnych decybeli więcej. Współpasażerowie wymieniają poirytowane spojrze-

nia. Kolejny zbiera się na odwagę i prosi o ciszę, powołując się na swoje zmęczenie i fakt, że pani modli się już przeszło dwadzieścia minut i, że naprawdę można robić to ciszej, tak by nie przeszkadzać innym. Pani robi się czerwona, śle gromy z oczu. W przedziale narasta irytacja znajdująca swoje ujście w słowach „czy pani może się wreszcie zamknąć”.

Nastaje cisza, ale tylko na chwilę. Pani podrywa się i zaczyna klócić z resztą przedziału. Wreszcie wypada, by po dłuższej chwili wrócić z konduktorem. Krótka wymiana zdań między nim, a pasażerami, wsparcie z sąsiednich przedziałów, konduktor rzuca coś pod adresem pani i odchodzi. Po chwili znika i bohaterka razem z bagażami. Z rozmowy wynika, iż pani zgłosiła kolejarzowi napaść. Za oknem dworzec w Łowiczu...

Zapewne ktoś powie, że obie sytuacje zmyśliłem, bo zwykle jakoś tak się składa, że przedstawiciele niektórych środowisk zaczynają od takiego zarzutu. Niestety nie. Pierwsza jest wynikiem mojej obserwacji, drugiej doświadczył kolega. Do tej „mojej” nie mam nic. Każdy spędza swój czas wedle własnego uznania. Druga jest kwintesencją czegoś, czego

Dziennik wydarzeń

Daty miesiąca do wykorzystania na lekcji etyki

listopad 2016

Wtorek 1

- ✓ Święto Zmarłych

Sobota 5

- ✓ Dzień Postaci z Bajek

Środa 9

- ✓ Światowy Dzień Gry Wstępnej
- ✓ Międzynarodowy Dzień Walki z Faszyzmem i Antysemityzmem

Czwartek 10

- ✓ rocznica urodzin Paracelsusa (ur. 1493 lub 94)

Środa 16

- ✓ Dzień Tolerancji

Czwartek 17

- ✓ Światowy Dzień Filozofii
- ✓ Dzień Czarnego Kota

Sobota 19

- ✓ Dzień Toalet
- ✓ Międzynarodowy Dzień Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci

Piątek 25

- ✓ Międzynarodowy Dzień Eliminacji Przemocy wobec Kobiet
- ✓ Rocznicą urodzin Karla Benz'a (ur. w 1844)

Sobota 26

- ✓ Dzień bez Zakupów

Poniedziałek 28

- ✓ Dzień Pocałunku

Wtorek 29

- ✓ Andrzejki

nie sposób tolerować. Pani nie liczyła się z nikim i niczym, wkroczyła w sferę prywatną swoich towarzyszy podróży, najnie-normalniej w świecie zakłócając im spokój. Można powiedzieć – proza życia. Nie raz i nie dziesięć razy każdy czegoś takiego doświadczył. A to sąsiad puszcza błądym świtem muzykę na maksą, a to student oddeguwuje sesję grając na perkusji w środku nocy.

Niemniej problem z drugiej sytuacji jest głębszy. W trakcie kłótni z resztą pa- »

» sażerów pani używała szeregu powszechnie znanych słów. W sposób dość kuriozalny, nie można zaprzeczyć. Mówiła o tolerancji, świadomości swoich praw, szukanowanej katolickiej większości w naszym kraju. Zgodnie z opisem kolegi kobieta ewidentnie dążyła do konfrontacji, usiłowała przedstawić się, jako ofiara nietolerancji, wręcz represji, porównywała się do współcześnie ginących za wiarę. Była kompletnie zaimpregnowana na kwestię, iż nikt jej nie zabrania się modlić, ale niech to robi tak, by pół wagonu nie musiało jej słuchać. Skończyło się niczym, pozytyw był tylko taki, że pani wyniosła się do innego wagonu.

Cóż. Pozwolę sobie zauważyć, iż pani była dość typowym przedstawicielem pewnych środowisk. Nielicznych, ale głośnych. Pozbawionych elementarnego dystansu do samych siebie i swojego światopoglądu. Przekonanych o słuszności własnych przekonań, a jeśli ktoś uważa inaczej, to patrz punkt pierwszy. Nie dopuszczający "wypaczeń". Dla których ich wyznanie jest kwintesencją i jedynym sensem istnienia. Ocierających się lub wręcz wpadających w fanatyzm religijny objawiający się agresywną postawą wobec każdego, kto wykracza poza przyjęty przez nich schemat. W swej istocie ludzi pustych duchowo, przerażonych samą ewentualnością, że można żyć inaczej.

Z tego też się bierze ich przewaga nad nami. Prozaicznie – dla nas czymś normalnym jest trzymanie dystansu do drugiego człowieka. Niech robi, co chce, o ile to jest zgodne z prawem i nie wkracza w naszą prywatność. Tamte środowiska mają przykry obyczaj nie dość, że wtrącania się w nasze sprawy, to jeszcze starają się tak wpływać na prawo, by nam czegoś zabronić, lub coś nam nakazać. To już normalne nie jest. Ale oni uważają to za coś normalnego, usiłują patrzeć na nas z poziomu swojego poczucia urojonej wyższości.

Bywają w tym irytująco śmieszni, tak jak pani z drugiej sytuacji, niemniej kilkoro takich, jak ona, umie narzucić swój światopogląd całej reszcie. Reszcie, która się nie angażuje, jest bezwolna, daje się prowadzić „bo co to szkodzi”, tudzież „co ludzie powiedzą”.

W życiu codziennym przekłada się to na zbędną z naszego punktu widzenia oprawę sakralną rozmaitych uroczystości państwowych, samorządowych, szkolnych. Organizowanie rozmaitych imprez pod dyktando obcego nam kalendarza włączając w to nawet szkolne dyskoteki. Często odbywa się to za plecami zainteresowanych – grupa rodziców coś ustali, zaczęną organizować, po czym dowiadują się od dyrekcji, że ktoś „w ich imieniu” imprezę odwołał. Kilkoro innych rodziców, katecheta, proboszcz, jakiś pseudo społecznik. Dosłownie. Co wtedy zwykle rodzice robią? „Ruki pa szwam”. A wystarczy, że w społeczności, tworzącej szkolną wspólnotę trafi, się dosłownie kilkoro z „poczuciem moralnej wyższości”, wsparciem proboszcza i strachajłem pełniącym obowiązki dyrektora szkoły. I już nie ma dyskoteki w piątek i klocków lego do zabawy. A na zakończeniu roku istotniejszy od dzieci jest proboszcz.

Właśnie. Społeczność, wspólnota. Przedstawiciele tych środowisk bardzo dużo mówią o ich tworzeniu, ale nie mają najmniejszych skrupułów eliminować z niej nasze dzieci. Nie ma problemu, że nasze dzieci nie chodzą na religię a jej obecność w szkole stawia je na pewnym marginesie i rodzi szereg konfliktów. Nie ma problemu, bo to nasza decyzja, decyzja (w najlepszym razie) dziwaków. Problem powstaje, gdy ich dzieci w czymś nie mogą wziąć udziału z powodów (jakoby) religijnych. Np. w piątkowej dyskotecie. Wtedy to jest już rozbijanie szkolnej wspólnoty i dyskotekę należy zorganizować tak, by ich dzieci mogły wziąć w niej udział.

Dla nas najgorszym okresem są tzw. rekolekcje. Teoretycznie, pod względem prawnym, wszystko powinno być proste. Ale nie jest, bo my nie mamy co zrobić z dziećmi, którym szkoła zwykle oferuje marnowanie czasu na świetlicy. Zostawić w domu na trzy dni? A kto będzie w tym czasie za nas pracował?

Dlaczego to musi koniecznie odbyć się w trakcie zajęć? Czemu nie po zajęciach? Czemu w takiej sytuacji słyszę od nich argument, że to ułatwia im życie, bo szkoła wszystko ogarnia? A z jakiego powodu oni sprowadzają swoją wiarę do »

Rubryka HERL etyka

Peter Herl



nico-dziennik etyczny

redaktor naczelna

Agnieszka Abémonti-Świrniak

numer ten przygotowali

Marcin Bogusławski, Michał Charzyński,
Peter Herl, Izabela Jaszczurowska,
Urszula Kaskowa, Joanna Kędzierawska,
Dorota Klewicka, Maciej Pyrzanowski,
Maciej Różalski, Zbigniew Szetela,
Janina Tyszkiewicz

kontakt

ndetyczny@wp.pl

internet

<http://robila.overblog.com/>
<http://www.etykawszkole.pl/>

skład/ikonografia/infografika... i cała reszta!

Emmanuel Abémonti

» prymitywnego wygodnictwa? Odbębnić i z głowy? Bęben jest głośny, ale pusty w środku.

Zresztą – to nie jest kwestia tylko rekolleksji. W wielu szkołach praktykowane są msze na początek i koniec roku, rozmaite lokalne święta, apele i tak dalej. Jest to dla mnie kompletnie nie zrozumiałe, no ale ja jestem dziwakiem, bo nie posyłam dziecka na religię. Niemniej za-

dam proste pytanie – msza o osiemnastej, albo w weekend nie jest dość święta? Wozicie na angielski, więc czemu nie chcecie wozić na mszę? Jesteście tak religijni, że msza jest dla was mniej istotna niżli angielski? A może jesteście, jak ta pani z drugiej sytuacji? Głośni, ale puści, posługujący się słowami, których nie rozumiecie? Tylko bębnicie zamiast skupić się na cichej rozmowie ze swoim Bogiem? ■

ukę również w następnym. W międzyczasie zaczęłam udzielać się w internecie, wstępować do kolejnych ateistycznych grup, aż w końcu trafiłam do grupy na fb „Nasze dzieci nie chodzą na religię”. Poznałam tam rodziców, którzy nie tylko są pewni swoich przekonań, jak ja, ale którzy również działają, walczą o swoje prawa i dzielą się swoimi doświadczeniami. To dodało mi pewności siebie.

Kiedy w zeszłym roku szkolnym dostałam na zebraniu plan lekcji, na którym, jak zwykle, widniały dwie lekcje religii i znowu musiałam dociekać o etykę, jeden z rodziców spytał, co to właściwie jest ta etyka? Wychowawczynie odpowiedziała, że nie wie i że można zapytać tych rodziców, którzy na etykę posyłają swoje dzieci. Udzieliłam odpowiedzi, ale uznałam również, że miarka się przebrała. Postanowiłam działać. Pewna tego, że chodząc do dyrektorki nic nie załatwię a poza tym nauczona przez rodziców z w/w grupy tego, że słowo pisane ma większą moc, napisałam maila do dyrektorki szkoły. ■

KORESPONDENCJA Z DYREKCJĄ

„Pani Dyrektor,

„Po raz kolejny na początku roku szkolnego w planach lekcji ujęte są dwie godziny religii, a nie ma ani jednej godziny etyki. Na pierwszych zebraniach nauczyciele sami nie udzielają żadnych informacji na temat obu tych przedmiotów. Jeśli zostaną dopytani o zajęcia z etyki, nie potrafią udzielić odpowiedzi prawidłowo.

Niestety wiedza rodziców na temat etyki, zasad jej organizowania i statusu tych zajęć, jest znikoma. Notoryczne nieumieszczanie tego przedmiotu w planach lekcji na początku roku szkolnego, pogłębia niewiedzę rodziców oraz stawia lekcje religii w pozycji uprzywilejowanej względem etyki. Dzieci uczęszczają na dwie lekcje religii od początku roku szkolnego, natomiast dzieci chcące korzystać z lekcji etyki, zaczynają naukę znacznie później i do tego mają zapewnioną tylko jedną godzinę tygodniowo. Z przykrością zwracam również uwagę na niesprawiedliwy zwyczaj, jaki utarł się w naszej szkole, kiedy to uczniowie uczęszczający na lekcje etyki muszą na te zajęcia czekać, podczas gdy religia odbywa się w dogodnym dla uczniów terminie – pomiędzy zajęciami obowiązkowymi, przed nimi lub zaraz po zajęciach.

Traktowanie lekcji religii jak przedmiotu obowiązkowego i jednocześnie niewspominanie na pierwszych zebraniach o zajęciach z etyki, mimo że oba te przedmioty zostały wprowadzone jednym rozporządzeniem MEN, oba są nieobowiązkowe i powinny być organizowane na ży-

»

Dziennik szkolny, czyli etyczne z życia wzięte

Izabela Jaszczurowska

List Izabeli Jaszczurowskiej, redaktor Polskiego Ateisty...

Droga Redakcjo!

Wydawać by się mogło, że walka o etykę w szkole to nic poważnego, a jednak okazało się, że musiałam stoczyć o to batalię. Na wstępie powiem, że szlag mnie trafił, kiedy czytam na różnych grupach teksty typu:

„Co wy się tak czepiacie tej religii? Nie podoba się, to nie posyłajcie na nią dzieci”, albo „Macie przecież swoją etykę” Ludzie, którzy to piszą, zupełnie nie znają polskich realiów, albo po prostu nie mają dzieci w wieku szkolnym. Nie mają pojęcia z czym boryka się każdego dnia taki rodzic jak ja – ateista.

■ Matka ateistka

Ateistką jestem od zawsze. Nie ochrzciłam dzieci (choć nawet niektórzy ateści pytali mnie, dlaczego?), nie posyłam ich również na religię. Czy się bałam? Owszem. Czy się martwiłam o dzieci? Bardzo. Ale wiedziałam, że inaczej po prostu nie można, jeśli chcę żyć i wychowywać dzieci zgodnie z moimi przekonaniami i światopoglądem. A już na pewno nie wyobrażałam sobie życia w hipokryzji.

Mój syn skończył tę samą szkołę podstawową, do której uczęszczała moja córka. Co roku musiałam pisać, że nie życzę sobie, aby uczęszczał na lekcje religii. Nawet nie wiedziałam, że jest to niezgodne z prawem, bo religia to przedmiot nieobowiązkowy, na który dziecko trzeba zapisać, a nie z niego wypisywać. On zaś podczas godziny lekcyjnej przeznaczonej na katechezę siedział w świetlicy. Nie sam, tylko z koleżanką, której rodzice byli muzułmanami. Później w bibliotece. Nigdy się nie skarżył. Po prostu to rozumiał.

■ Pierwsze kroki walki o etykę

W końcu jedna z matek postanowiła zawalczyć o etykę w naszej szkole. Zaczęła

zbierać podpisy od rodziców, którzy chcieli tego przedmiotu. To była zdeterminowana kobieta. Nie potrzebowała pomocy innych, również mojej. Za to informowała mnie o postępach swoich działań. Dyrektorka szkoły próbowała ją zbyć: „co to za fanaberia?”, „szkoła nie ma pieniędzy na dodatkowe lekcje”, „ja nie mam takiego obowiązku”. Musiało interweniować kuratorium, żeby etyka pojawiła się w szkole.

Syn chodził. Na początku niechętnie, bo odbywały się w piątki i musiał czekać dwie godziny lekcyjne. Z czasem tak je polubił, że po lekcjach wpadał do domu coś zjeść i biegł z powrotem do szkoły na etykę. Nauczycielkę znalazła ta sama mama, która nam ten przedmiot załatwiła.

■ „Życzliwi” rówieśnicy

W międzyczasie do tej samej szkoły zaczęła chodzić moja córka. Znacznie gorzej niż syn znosiła odizolowanie od kolegów i koleżanek z klasy podczas lekcji religii. Do tego wracała do domu z płaczem, bo ktoś jej powiedział, że zgnije w piekle, albo że bóg ją zabije, bo jest grzesznicą. Nawet ostatnio, choć już chodzi do piątej klasy, powiedziała mi, że jej przyjaciółka dała jej „dobrą radę”: „Jeśli teraz uwierzysz w boga i go przeprosisz, on ci wybaczy twoje grzechy i będziesz uratowana”.

■ Moja walka

Podczas każdego pierwszego zebrania w nowym roku szkolnym, kiedy to my rodzice dostawaliśmy do rąk plan lekcji, zadawałam wychowawczynie to samo pytanie – czy i kiedy będzie etyka? I za każdym razem dostawałam taką samą odpowiedź: „szkoła sprawdza ile będzie chętnych i jak już wszystko będzie jasne zawiadomię panią”. Denerwowało mnie to, bo jasne powinno być, że przynajmniej część dzieci, które uczęszczały w zeszłym roku szkolnym, będą chciały kontynuować na-

» czenie rodziców, umieszczanie etyki w planie o niekorzystnej dla dzieci porze i rozpoczynanie zajęć z etyki z dużym opóźnieniem, według mnie, nosi znamiona dyskryminacji.

Poza tym zastanawia mnie to, dlaczego z góry zakłada Pani, że chętnych na lekcje etyki będzie na tyle mało, że będzie można połączyć dzieci z tak wielu klas w jedną grupę? (...)

Mam nadzieję, że w kolejnych latach nie będzie trzeba upominać się o lekcje etyki, że będą one umieszczone od początku roku w planach lekcyjnych, oraz że wychowawcy będą zobligowani do udzielenia rodzicom wszelkich informacji dotyczących tego niezwykle wartościowego przedmiotu."

ODPOWIEDŹ DYREKTORKI:

*„Witam Panią,
bardzo proszę o podanie telefonu do kontaktu. Zadzwońię do Pani i odpowiem na wszystkie pytania. Łatwiej nam będzie wyjaśnić wątpliwości w bezpośredniej rozmowie. Pozdrawiam. T.S.”*

MOJA ODPOWIEŹ:

„Pani Dyrektor,
Gdybym uznała, że na temat etyki, oraz traktowania tego przedmiotu w naszej szkole, mogę sobie z Panią po prostu porozmawiać, z pewnością nie tylko podałabym Pani mój nr telefonu, ale osobiście stawiałabym się w Pani gabinecie. Dla mnie jednak ta sprawa jest szczególnie ważna, dlatego też pozwoliłam sobie napisać do Pani i oczekuję odpowiedzi pisemnej.
Z pewnością pamięta Pani, z jakim trudem do naszej szkoły wprowadzona została etyka. Rozmowy nie były łatwe, do tego trzeba było interwencji z zewnątrz, aby rodzice otrzymali dla swoich dzieci to, co im się prawnie należy. Do tego z doświadczenia wiem, że słowo pisane ma znacznie większą moc i nie umyka ono pamięci tak łatwo, jak słowo wypowiedzane.

1 października mamy kolejne zebrania wychowawców z rodzicami. Wówczas nauczyciele mogliby przedstawić status prawny religii i etyki w szkole oraz przybliżyć rodzicom podstawę programową etyki. Podstawy programowej lekcji religii nie trzeba przedstawiać, ponieważ szkoła i tak nie ma na nią żadnego wpływu. Li-

czę na to, że tak się stanie. Jeśli jest taka potrzeba, służę stosownymi materiałami, które mogą przygotować dla każdej klasy.”

I ZNOWU JA:

„Szanowna Pani Dyrektor,
Dziś mija 15 dzień od napisania przeze mnie maila do Pani w sprawie etyki (7 września). Do dzisiaj nie otrzymałam od Pani odpowiedzi, oprócz propozycji rozmowy telefonicznej. W kolejnym mailu z dnia 15 września wyjaśniłam Pani, dlaczego oczekuję odpowiedzi pisemnej.

Zdaję sobie sprawę, że na początku roku szkolnego ma Pani wiele pracy, jednak tak długa zwłoka z odpowiedzią sprawia wrażenie, jakby Pani jej unikała. Tymczasem sprawa jest bardzo poważna, ponieważ dotyczy nierównego traktowania uczniów uczęszczających na te lekcje.

W drugim piśmie do Pani z dnia 15 września proszę/wnoszę o zobligowanie nauczycieli, aby udzielili rodzicom wszystkich informacji na temat statusu prawnego religii i etyki oraz przedstawili podstawę programową etyki na najbliższych zebraniach klasowych, czyli 1 października. Wciąż nie mam od Pani żadnej informacji, jakie jest Pani stanowisko w tej sprawie.

Przypominam, paragraf 38 punkt 3 statutu szkoły, który brzmi: „Wszyscy członkowie społeczności szkolnej mogą składać do Dyrektora Szkoły skargi i wnioski w formie pisemnej, lub w formie ustnej”.

Uważam, że moje pierwsze pismo do Pani z dnia 7 września, można potraktować zarówno jako skargę, jak i jako wniosek. Proszę w takim razie o informację do 25 września, czy w ogóle zamierza mi Pani odpisać? Jeśli tak, to kiedy mogę spodziewać się odpowiedzi na moje poprzednie maile? Wciąż liczę na to, że uda się sprawę załatwić polubownie, bez konieczności angażowania w nią osób trzecich.”

I ODPOWIEŹ PANI DYREKTOR:

*„Szanowna Pani,
jak podkreśliła Pani w swoim piśmie sprawa jest bardzo poważna i tak też ją traktuję. Dlatego odpowiedź przyjdzie do Pani listem poleconym w terminie przewidzianym prawem.”* ■
Cdn...



dia do Francji. Na 1825 uczniów zapisanych na uniwersytecie są tylko 23 dziewczyny. W 1893r., otrzymała licencjat nauk fizycznych i w 1894r. licencjat z nauk matematycznych. Chciała wrócić do Polski, gdy coś ją zatrzymało. To „coś” to była miłość. Maria zakochała się w młodym fizyku, Pierre Curie (po polsku: Piotr Curie) 26 lipca 1895 pobrała się z Piotrem w Sceaux (Francja). Jako prezenty ślubne dostali rowery, których dużo używali. 12 września 1897r. Maria urodziła swoją pierwszą córkę Irenę. Podczas swoich badań zauważyła dziwne niebieskie światélko. To światélko nazwał „radioaktywność”. Na początku producenci się tym tak zachwycili, że zaczęli go dodawać do wszystkiego: do past do zębów, do perfum, do szamponów, do bawełny, do szminek, a nawet do kremów. Maria nie była z tego szczęśliwa, bo ani ona ani ludzie nie wiedzieli, że rad był bardzo szkodliwy i niebezpieczny. Jej sława nie miała granic. W Ameryce ktoś nazwał konia wyścigowego „Curie”.

W 1903r. Maria dostała Nagrodę Nobla. 6 grudnia 1904r. urodziła swoją drugą córkę Ewę. 19 kwietnia 1906r. umiera Piotr. 1911, dostała drugą Nagrodę Nobla.

Maria była pierwszą kobietą na **Sorbonie**. Była też jedna z pierwszych kobiet, która zrobiła prawo jazdy, by leczyć żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej. Była też pierwszą kobietą którą pochowano w **Panteonie**. W 2011 ogłoszono Rok Marii Skłodowskiej-Curie. ■

Nieco-Dzienniczek

Urszula Kaskowa, 10 lat / foto internet

Kim była Maria Skłodowska - Curie?

MARIA SKŁODOWSKA urodziła się 7 listopada 1867r. w Warszawie i zmarła 4 lipca 1934 w Passy (Francja).

Gdy była mała, Maria często patrzyła na **fiolki** swojego taty. Gdy dorosła, była przyjaciółką sławnego naukowca Alberta Einsteina. W 1891r. wyjechała na stu-

■ Słowniczek

Fiolki: Małe buteleczki, do których wkłada się różne płyny chemiczne.

Panteon: Dawny kościół w którym chowała się ciała ważnych dla Francji ludzi.

Sorbona: Najstarszy uniwersytet Europejski, znajdujący się w Paryżu.

Cloaca Maxima

OD KIEDY ludzie porzucili wędrowną tryb życia pojawił się problem. Gdzie defekować? Jako ludy wędrownie zostawialiśmy ten śmierdzący problem za sobą. Teraz jednak jako osiadli musimy coś z tym zrobić. Bo jak wlało to i musi wyleźć. Tyle, że w gorszej postaci. Różnie sobie z tym nasi pra pra radzili. Nawet pisma święte udzielały porad w tej materii. Choćby Biblia doradza by udać się w ustronne miejsce z kijem. Tam wygrzebać dołek i potem, tymże gnatem, zagrzebać, cośmy w nim zostawili. Widać Stwórcę dając „wlot” pamiętał również o „wylocie” (ciemnym, że Oko wykol) i jego produktach.

Najstarsze toalety

Przez tysiące lat ludzie różnie sobie z tym dawali radę. Raczej prymitywnie. Ale już 4500 lat temu w dolinie Indusu używano toalet, gdzie można było usiąść i po wszystkim nawet splukać. Mieli to ustrojstwo także w domach! Przed naszą erą istniały również toalety w Egipcie, Babilonie, Chinach i na Krecie. Nie znano tam Biblii, więc obywano się bez kija do zagrzebywania.

Porządnie jednak rozwojem toalet zaczął się dopiero Rzym. Dzięki akweduktom było możliwe splukiwanie i odprowadzanie kanalizacją nieczystości. Pomimo, że w starożytności istniały już toalety w domach, to z lubością korzystano z publicznych. Zbiorowych (o, zgrozo!). Nie było podziału „męska”, „damska”. Poszczególne sedesy często były ustawiane naprzeciwko siebie. Sprzyjało to zacieśnianiu więzi, pogawędkom, plotkom, a nawet ubijaniu interesów. Obok kamiennych sedesów płynęła bieżąca woda, gdzie maczano gąbkę na kiju. Biedna gąbka ze szmaragdowego morza. Gdyby wiedziała, co będą nią czyścić, urodziłaby się pewnie krabem. No, ale my tu gadu gadu, a Rzym przyjął chrześcijaństwo. Jak wiadomo, krótko potem padł na pysk. A wraz z nim wiele, wiele osiągnięć nauki i techniki.

Cienie średniowiecza

Wyrośle na gruzach Imperium kraje i kraiki, pograżały się w mrokach średniowiecza. Po polsku w epoce „rozkwit państwowości i kultury”- jak twierdzą katoliccy filozofowie. W złotej tej epoce zapominano i o toaletach. Fajdano więc, gdzie popadnie. Zapanowała anarchia toaletowa. Robiono to na ulicy, w zaułkach, zakamarkach. Z postępem zaczęto korzystać z noc-

ników. Królowie nawet z foteli z otworem i wiadrzem pod spodem. Wbrew powiedzeniu „gdzie król samotnie chadzał”, robił to z całym orszakiem. Często przyjmując gości. Monarchowie, co samotnie chadzali za potrzebą, umierali czasem na zatrucia. Sztyletem czy coś tak

Pełne nocniki i wiadra wylewano oknem. Z czasem problem stał się tak poważny, że ustalono godziny, w których można wywalać fekalia oknem. Dla bezpieczeństwa tych na ulicy. W Polsce przyjął się zwyczaj krzyczenia „Idzie się!”, żeby nie wpaść pod „złoty deszcz”. Ulice były pełne błota, końskiego i ludzkiego nawozu. Kładziono więc deski żeby móc się poruszać. Gdy zgniły rzucano następne... i tak poziom ulic znacząco się podnosił.



Pierwsze spluczki

Zanim w 1596 r. angielski poeta J.Harrington wynalazł toaletę ze spluczką pojawiło się wiele ciekawych pomysłów. W zamkach budowano specjalne wykusze na murach z... dziurą u dołu. Tam można było sobie ulżyć. Liście kukurydzy czy słoma pełniły rolę gąbki ze starożytności. No ale czasy „rozkwitu” zobowiązują. Zazwyczaj dziury były nad fosą. Gorzej, gdy nie były. Wtedy jakiś biedak z łopatą musiał co jakiś czas usuwać co spadło. We Francji wykusze te zwano „garderobą”. Podobno dlatego, że pod spodem wieszano ubrania. Lecący z góry moc skutecznie zwalczał powszechnie wówczas pchły. Ciekawe jakie insekty likwidowały „grubsze” rzeczy lecące za moczem?

Wspomnianą toaletę Harringtona zamontowano Elżbiecie I. Niestety nie przyjęła się w ogóle z powodu braku kanalizacji. Prawdziwy powrót toalety ma miejsce

dopiero w 1738 r. A to za sprawą J.F.Brondela, który ponownie wynajduje toaletę splukiwaną. 20 lat później zegarmistrz A.Cummings patentuje kolanko pod muszlą zapobiegające wydostawaniu się nieprzyjemnych zapachów. Pierwsze toalety publiczne postawiono w Paryżu w początku XIX w.

Higiena w Polsce

Wielu kojarzy zapewne pojęcie „sławojka”. Mało kto jednak wie, że to od międzywojennego premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego. Dzielny ów człowiek w 1928 r. nakazał, aby na każdej działce budowlanej postawić wychodek. I nie jest to kpina z jego osoby, bo słusznie chciał podnieść poziom nędznej higieny w narodzie. Pomimo wymogu, rzadko i niechętnie korzystano ze „sławojek”. A jak już to potem i tak doły kloaczne wypróżniano do rzek. Często w czasie powodzi wszystko wracało na pola i do zagrod. Również su-

sza ujawniała gdzie pozbywano się szamba. Opadająca woda ujawniała hałdy stolca. Smród i muchy dopełniał pejzażu. Kto oglądał „Konopielkę” pamięta, że w Taplach „rąbano” za stodołą. Dopiero przybycie „uczycielki” podniosło problem budowy wychodka.

Mówiąc o toaletach, nietaktem byłoby pominąć „narciały”. Etap w ewolucji sposobu defekacji. Otwór w podłodze z podstawami na nogi i spluczką. Często spotykany kiedyś w dworcowych i przemysłowych WC. Jako mało komfortowy jednak szerzej się nie przyjął.

Światowa Organizacja Toalet

I tak poprzez epoki docieramy do czasów nam współczesnych. Gdy toaleta zajmuje należne jej miejsce w każdym domu. Całkiem słusznie, w 2001 r. w Singapurze powołano WTO. World Toilet Organization. Problemem sanitaryzacji na świecie zajęli się kompetentni ludzie. A dzień »

» powołania WTO postanowiono obchodzić jako Światowy Dzień Toalet.

Gdy więc zasiądziemy sobie z gazetką w zaciszu domowego ustępu spójrzmy czasem w dół, pomiędzy pokracznie rozchylonymi udami. Nie skupiając się na tym co na pierwszym palnie ujrzymy odpływ. To jak spojrzenie w tysiące lat historii kałem pisanej. Być może śmierdzącej ale nierozwalnie związanej z nami. □

Stop klatka

Agnieszka Abémonti-Świrniak

Dzień toalet

DO KIBLA chodzi każdy z nas. Co poniektórzy piechotą. Znaczący wszyscy zasadniczo piechotą. Tylko król chętnie by się wyłamał, ale zanim go zanoszą w lektyce, to jeszcze by nie zdążył...

Jedno jest pewne, jeśli jest jakaś równość w życiu to jest to potrzeba „załatwienia się”. Gorzej już z równością w kwestii toalet. Jak pisała kiedyś Małgorzata Zalewska, w krajach Globalnego Południa wiele dziewcząt ma ogromne problemy z higieną i zdrowiem, gdyż szkolne toalety są brudne, albo z gołą w ogóle ich nie ma. W związku z tym, dziewczynki powstrzymują się od wypróżniania, co powoduje zapadanie na infekcje i choroby.

Nasze toalety kucane w wielu krajach nazywają się tureckimi. Mają wielu zwolenników, gdyż kucając, skuteczniej popychamy do wyjścia to, co ma z nas wyjść. Jest to pozycja znacznie bardziej fizjologiczna i efektywna, niż siedzenie na desce klozetowej.

W I w. p. n.e Rzymianie wymyślili i zaczęli rozprzestrzeniać na całą podbitą Europę swoje latryny. Stawiali je w zdobytych miastach, jako toalety publiczne. Spotkać je do dziś można w Ostii, Efezie, a nawet w Anglii (fort Housesteads). I choć Rzymianie wypróżniali się zbiorowo, jeden obok drugiego, to odznaczali się sensem praktycznym – stawiali latryny obok łaźni publicznych, których zużyta woda spłukiwała nieczystości.

Kibelek angielskiego króla Hernyka VIII (XVI wiek) był obitą welurem skrzyneczką (z wiadrzem w środku), udekorowaną wstążkami i 2000 złotych gwoździaków!

Pierwsza toaleta ze spłuczką z roku 1596 nazywała się „ajax” i, wymyślona dla angielskiej królowej Elżbiety I, nie przekroczyła nigdy drzwi pałacu. Nie spodobała się.

Człowiek robi siusiu i kupe, gdzie by

Nieco śledztwa - dzień toalet

Montaż Emmanuel Abémonti / foto autor (toaleta) i internet (Myśliciel Rodin)



Dziennikarze śledczy NDE odkryli o czym myślał...

nie był. Należy zatem zadbać również o toalety... w kosmosie. Astronauci załatwiają swoje lżejsze potrzeby do lejka, od którego odchodzi długa rura, zasysająca nieczystość niczym odkurzacz. Żeby wypróżnić się grubiej, siadają na specjalnej maszynie i przypinają sobie nogi. Ale ponieważ wszystko znajduje się w stanie nieważkości, żeby kał zechciał łaskawie odczepić się od ciała astronauty, jest ono polewane strumieniem wodnym pod ciśnieniem, wpada do plastikowego worczka, który następnie zostaje próżniowo zamknięty, aby uniknąć nieprzyjemnych zapachów.

Jaki nie byłby czas i przestrzeń, nawet kosmiczna, do toalety chodzić musimy, choć robienie kupy wśród gwiazd jest zapewne nieco bardziej fascynujące niż wśród kolegów - rzymskich legionistów. □

Japonia

JAPONCZYKOM nie wystarczą już zwykłe kibelki, ani nawet eleganckie toalety. W 1997 do Księgi Rekordów Guinnessa trafiła wielofunkcyjna muszla klozetowa z letnim strumieniem, czyszczącym pupę. Nazwana została „washlet” od ang. „wash” – myć i „-let” od toalet. W 2002 połowa Japończyków miała już w domu taki kibelek high tech. Są obecnie wyposażone w takie gadżety jak suszenie powietrzem, podgrzewana deska klozetowa, wentylator antysmrodowy, klimatyzacja, a nawet... masaż! Aby kontrolować te i kilka innych funkcji potrzeba aż 38 guziczków! Powstała nawet podróżna wersja przenośna, do której należy włożyć baterie, letnią wodę i już można ruszać. Nawet w kosmos.

Czarny Protest

PARAFRAZA „Czarnej sukienki”, (patrz oryginał w ramce), Zbigniew Szetela przesyła nam następującą parafrazę w związku z obecną sytuacją kobiet polskich... Nic dodać, nic ująć...

*Pochowajmy barwne stroje w głębi starych szaf;
Paragrafy kobiet prawa dławią, siejąc strach.
Już nam komuna wolność oddała –
Wiara, nadzieja, kolorów rój;
Kościół zniewala kobiece ciała –
Opór wyraża ulicy strój:
Czarna sukienka.
Konkordatu demokracja – biskup rozkaz da;
Sejm głosuje za ołtarzem – Jarek posłuch ma.
Zgwałconych kobiet płody ochronią,
Bo darem życia w nich plemnik zbój.
Kaplice macic pod Twą obroną,
Kobiety życia obroną strój:
Czarna sukienka.
Prawa kobiet będzie chronił nowej troski gest:
Comiesięcznych owulacji przymusowy chrzest.
Plód katolicki od prokreacji
– Karnym kodeksem władza tu ksiądz –
Chłopców uchroni od masturbacji,
Gdy przyrodzenia nakaże ciążę –
Czarna sukienka.
Ćwierć narodu księdza wspiera na niedzielnych mszach,
A większości praw morderca przed biskupem strach.
Nie pozwól Narodzie zdeptać praw,
Gdy pieniądz i honor odbiera Twój
Sejm pod dyktatem kościelnych naw,
Czy Twą obroną jedynie strój:
Czarna sukienka?
Okrył Polskę czarną szmatą klerykalny kurz,
Konstytucję Konkordatem dobijają już
Czarne sukienki. ▣*

■ „Czarna sukienka” - fragment



*Schowaj, matko, suknie moje,
Perły, wieńce z róż,
Jasne szaty, świetne stroje,
Nie dla mnie to już.
Patriota, Kobieta
Kiedyś jam kwiaty, stroje lubiła,
Gdy nam nadziei wytryskał źródło;
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła
Jeden mi tylko pozostał strój:
Czarna sukienka.*

Konstanty Gaszyński

„Czarny Protest” - źródło historyczne – pieśń „Czarna sukienka” sł. K. Gaszyński 1832r. Ta pieśń i czarne suknie kobiet po upadkach kolejnych zrywów wolnościowych to symbol. Kilka lat temu P. Skrznecki (Piwnica pod baranami) zapowiadając A. Szałapak z tą pieśnią wyraził nadzieję, że nigdy nie będzie już w Polsce potrzebna.

Filozoficzne za i przeciw

Marcin Bogusławski / foto internet

Szczepionka w społeczeństwie

ZGADZAM się z autorami książki *Czyja nauka? Czyje lęki?**, że „z uwagi na fakt, iż medycyna zajmuje się ludzkim życiem, jest obszarem szczególnie narażonym na społeczne emocje”. Z jednej strony chcemy widzieć w niej system ekspercki, któremu możemy zaufać. Z drugiej, wszelkie kontrowersje medyczne czy patologie, związane z działaniem firm farmaceutycznych, wywołują poważne społeczne niepokoję. Niepokoję te dotyczą chociażby szczepień — w obecnej kadencji swój zespół w polskim Sejmie mają już tzw. antyszczepionkowcy. Warto, jak sądzę,

spojrzeć na ruchy antyszczepionkowe, w perspektywie społecznej czy wspólnotowej: czy są one wyrazem solidarności społecznej? Czy służą dobru wszystkich obywateli? Czy umacniają zaufanie do instytucji publicznych? Poniżej zebrałem poglądy dotyczące ruchów na rzecz szczepień i ruchów przeciw szczepieniom. Tym razem nie mamy jednak do czynienia z argumentami TAK i NIE wobec jednej tezy. Chciałbym także polecić książkę Izabeli Filc-Redlińskiej *Szczepionki: nie daj się zwariować*, której autorka kompetentnie i przystępnie propaguje wiedzę na temat szczepień.

☑ Tak dla szczepionkowców

Ruchy na rzecz szczepień mogą wspierać procesy wspólnototwórcze oraz umacniać poczucie indywidualnego bezpieczeństwa „dzięki dwóm procesom stabilizującym rzeczywistość: nauce i państwu”. Jako przykład służyć może Burkina Faso, gdzie kampania na rzecz szczepień przeciw śwince, zapaleniu opon mózgowych i żółtej febrze była kluczowym elementem procesów państwowo- i narodowotwórczych.

Wspólnotowy charakter kampanii szczepionkowej w Burkina Faso czy amerykańskiej akcji walki z polio wiąże się, między innymi, ze wzrostem społecznej świadomości i odpowiedzialności. Szczepienia są nieskuteczne, jeśli dotyczą wą- »

» skiego wycinka populacji. Elementem kampanii na rzecz szczepień jest zatem tworzenie „obszaru bezpieczeństwa”, na którym mieścić się będzie jak największa część społeczeństwa (najlepiej całe). Zakładając zatem solidarną pracę na rzecz zdrowia publicznego trzeba zmobilizować jednocześnie działania rozmaitych aktorów społecznych: lekarzy, nauczycieli, rodziców, mass mediów, naukowców, polityków, bywa także, że żołnierzy. Masowa komunikacja, unikanie trudnych tematów i edukacja prozdrowotna na wysokim poziomie służą decyzjom, które gwarantują jednostkom większe bezpieczeństwo, włączając je także we wspólne, aktywne tworzenie rzeczywistości społecznej (partycypacja).



Wzrost społecznej świadomości, w tym rzetelna wiedza zdrowotna, pozwala na wyłonienie się ruchów pacjentów, które oparte są na wiedzy. Dochodzi wtedy do połączenie wiarygodnej wiedzy z indywidualnym doświadczeniem tych osób, co pozwala na przekształcanie rozmaitych praktyk medycznych czy naukowych po to, by je wzmocnić. Jako przykład może służyć tu ruch pacjentów chorujących na AIDS. Ich aktywność w wywieraniu „presji na badaczy”, w tym uzupełnienie debaty naukowej o kwestie moralne i polityczne, przyczyniła się do prowadzenia aktywnych badań nad AIDS i do lepszej walki z wirusem HIV. „Skala sukcesu aktywistów [...] miała także duży wpływ na ruchy pacjentów działających na rzecz innych schorzeń: borelioz czy raka piersi?”.

☒ Nie dla antyszczepionkowców

Ruch antyszczepionkowy jest przykładem postaw pasożytniczych. Jego reprezentanci korzystają z nowoczesnych dobrodziejstw, sami kierują się jednak motywami egoistycznymi, nie są solidarni społecznie. „Jest to widoczne, gdy spojrzymy na klasową strukturę ruchu antyszczepionkowego. Istnieje pozytywna korelacja po-

między uprzywilejowaniem finansowym, edukacyjnym a sprzeciwem wobec szczepień”. Antyszczepionkowcy nie próbują solidarnie budować państwa bezpiecznego dla wszystkich obywateli, ale „żyją oni w swych miniaturowych »pojemnikach«”, jak grodzone osiedla, gdzie budują bezpieczeństwo tylko dla własnej klasy.

Ruch antyszczepionkowy utrwała tendencje do postrzegania indywidualnego bezpieczeństwa w opozycji do państwa, ale także przeciwko nauce, wykorzystując między innymi kontrowersje naukowe czy brak rzetelnej edukacji prozdrowotnej, choćby do demonizowania skutków ubocznych szczepień. „...krytycy szczepień mają cały repertuar środków, którymi mogą destabilizować

»fakt naukowy«, mogą też tworzyć różnego rodzaju sojusze, pozornie niezwiązane z tematyką szczepień”. Dla przykładu, ruchy takie mogą wspierać tendencje nacjonalistyczne wskazując, że za szczepieniami stoją zagraniczni eksperci i obce firmy farmaceutyczne. A przez to, że jednym profesorom mogą przeciwstawić innych, „politykom — polityków, dziennikarzom — dziennikarzy”, doprowadzają do legitymizacji dyskusji publicznej, w której jakiegokolwiek poglądy, niezależnie od stojących za nimi argumentów, stają się równoprawne. Jest to możliwe także dzięki umiejętnemu podsycaniu tzw. „paniki moralnej”, czyli silnie emocjonalnej i negatywnej reakcji wobec jakiegoś X, które przedstawiane zostaje, jako zagrożenie dla interesów danej grupy. Panika moralna często bazuje na fobiach czy stereotypach i wykorzystywana jest jako wygodny sposób manipulowania opinią publiczną. ■

* Cały mój tekst oparty jest na fragmentach tej książki (ss. 84-5182-195). Ukazała się ona w roku 2016 nakładem Wydawnictwa Naukowego UAM, autorami są Andrzej W. Nowak, Krzysztof Abriszewski i Michał Wróblewski. Warto ją polecić między innymi osobom zainteresowanym ADHD i kontrowersjami naukowo-społecznymi.

Nieco lektury

Agnieszka Abémonti-Świrniak

Sztybor, Nowacki, Mazur „Niebieska Kapturka” (wyd. Tashka, Warszawa, 2015)

GDY POSTANOWIŁAM zamówić dla córki opisywaną niegdyś przez red. Tyszkiewicz „Niebieską Niedźwiedzicę”, wpadła mi w ręce pozycja pt. „Niebieska Kapturka”. Już sam tytuł, nawiązujący do Czerwonego Kapturka, daje jednak wyraźnie do zrozumienia, że coś się zmieniło. Że tradycja uległa przeobrażeniu.

Po pierwsze zmienił się i to dość radykalnie, kolor kapturka. Na niebieski, uznawany często w naszej zachodniej cywilizacji za symbol chłopcowości. Za to Kapturek, który przyprowadził zawsze dzieci i znawców psychologii literackiej o dzenderowy ból głowy, znów stał się dziewczynką. Niebieską jednak, żeby było nad czym myśleć.

Na tym nie koniec zaskoczenia. Przez 40 kolorowych stron Niebieska Kapturka, która jest już sporą nastolatką (o czym świadczy fakt, iż uczy się łaciny) wypowiada się zarąbiście zaręconą gwarą małałatów. Mieszka na „dzielni”, gdzie czas jej płynie na „czilu”. Mama robi jej „wbite” do pokoju, ptaki „zapodają” dobrą „nutę”. Kiedy wreszcie wyruszy jednak do babci, niesie jej „szamę” przez las pełen „dolinarzy”. Wszystkiego nie wypiszę, bo i nie sposób i szkoda niespodziankę psuć.

Dość powiedzieć, że nie tylko język i strój Kapturki są nietypowe. Babcia pozostaje wiecznie młodą laską, która wpada na balety i lata za miejscowymi żułami, jak żandarm. W gruncie rzeczy, każdy jest lub chce być kimś innym, niż wyznaczyły mu tradycyjne role społeczne – babcią, myśliwym, wilkiem... Nie zdradzę, kim na końcu zostali dwaj ostatni, ale naprawdę warto sięgnąć po tę pozycję i się dowiedzieć. Uczy bowiem nie tylko młodzieżowego słownictwa (jest słowniczek), ale przede wszystkim zaprzeczania schematom, postawy tolerancji i szacunku do siebie. Wytrwałości w spełnianiu własnych marzeń. ■



Doskonale niedoskonali



POMARAŃCZOWE szaty, łysa głowa, modlitwy, ćwiczenia i skupienie. Nirwana... Tak, to będzie artykuł o mnichach. Mnichach buddyjskich. Postaram się jednak pokazać, iż nie są to jedynie mistyczne postaci, lewitujące nad ziemią po wielodniowej medytacji, tylko ludzie. Tacy jak my. No, może bardziej uduchowieni, jednak dalej z krwi i kości, ze słabościami, wadami, cudownie niedoskonali, dążący jednak całe życie do doskonałości.

Zacząć należałoby od nakreślenia chociaż, czym jest Buddyzm, czyli właściwie całe życie tych tajemniczych ludzi z Tajlandii, Birmy, Laosu i pokrewnych państw. Więc odpowiedzmy sobie najpierw na pytanie....

■ ...Buddyzm – to religia czy styl życia?

Od wielu lat zafascynowana buddyzmem, jego założeniami oraz filozofią jakże bliską memu ateistycznemu sercu, postanowiłam zgłębić tajniki tego nurtu nieco bardziej. Pierwsze pytanie, jakie zadałam sobie po przeczytaniu wielu publikacji i obejrzeniu kilku znakomych reportaży i filmów dotyczących buddyzmu – to jeszcze filozofia, czy już religia?

Religia kojarzona jest z czczeniem określonego bóstwa lub bóstw, za pośrednictwem ziemskiego przewodnika - księdza, rabina, opata, popa itd. W religii mamy najczęściej do czynienia z nakazami i zakazami, jasno określonymi przez święte księgi, które – gdy nie zostaną przez wyznawców wypełnione - sprowadzą na wierne owieczki potępienie i cierpienie. W buddyzmie co prawda także mamy do czynienia z główną postacią **Buddą** (a do-

kładniej żyjącym ok. 500 lat p.n.e. założycielem tego nurtu **Siddharta Gautamą**), jednak nie jest on bóstwem, tylko człowiekiem, który dodatkowo zakazał siebie czcić i jedynie pokazał drogi, jakie mogą zaprowadzić nas do oświecenia. Dodatkowo faktycznie nakazał swoim „następcom” żyć ubogo i uczciwie i (poza wyjątkami, które opiszę później) w większości mnichom udaje się wypełnić ten warunek. Kontrastuje to - i to rażąco - chociażby z religią katolicką, gdzie znakomita część księży posiada majątki o jakich zwykły człowiek nawet nie śnił.

■ Cztery ścieżki. Ośiem stopni

Podstawą nauk buddyzmu są **Cztery Szlachetne Prawdy**. Zgłębienie ich na poziomie mistycznym pozwala odkryć cierpienie, poznać jego przyczynę, pozbyć się go, a na końcu, dzięki **Ośmiostopniowej Ścieżce**, osiągnąć oświecenie i całkowicie wyzbyć się zła i cierpienia. Uniwersalne prawdy zawarte w naukach Buddy w zasadzie nie zdezaktualizują się nigdy, gdyż uczą po prostu jak być dobrym człowiekiem, jednocześnie ubogacając siebie i czyniąc dobro.

■ „Uderz w stół, a stół uderzy w ciebie.”

Najbardziej fascynującym wątkiem w buddyzmie i jednym z bardziej charakterystycznych jest Karma. W największym skrócie - dobro wraca, zło także. Co złego zrobimy innym, wróci do nas ze zdwojoną siłą. Każdy dobry uczynek zostanie zaś wynagrodzony i to niekoniecznie w tym życiu, gdyż buddyzm zakłada reinkarnację i to międzygatunkową, a kolejne wcieleńia są kumulacją Karm z poprzednich

bytów. Jak mówi powiedzenie buddyjskie - „uderz w stół, a stół uderzy w ciebie”.

■ Nie taki mnich poważny, na jakiego wygląda....

Wracając jednak do naszych braci mnichów z klasztorów buddyjskich - kim są, jak żyją, co lubią robić? Tu warto zaznaczyć, że mimo iż buddyzm jest jeden, tak klasztorów i szkół buddyjskich jest wiele – jedne bardziej rygorystycznie podchodzące do nauk Buddy, inne mniej, z nastawieniem na turystów.

Mnisi mieszkają w klasztorach zwanych Watami. W społeczeństwie cieszą się ogromnym szacunkiem. Posiadają wyższy status społeczny i przykładowo – gdy kelnerka podaje posiłek mnichowi, idzie ku niemu zgarbiona, aby nie przewyższyć buddysty głową. Mimo, iż nie mieszkają się do polityki, ich zdanie np. podczas wyborów jest bardzo ważne i brane pod uwagę. Na co dzień, oprócz modlitw, czuwania, medytowania, mnisi zajmują się dbaniem o swoje otoczenie, pracą przy porządkowaniu, budowaniu... Jeśli chodzi o jedzenie – każdy mnich posiada tzw. misę żebraczą, z którą co rano wychodzi na ulicę, by zebrać jałmużnę w postaci jedzenia. Turyści i miejscowi bardzo chętnie dzielą się jedzeniem, w zamian otrzymując błogosławieństwo. Pięknie opisał mnichów w swoim reportażu Karol Kopańko – podróżując m.in. po Tajlandii ukazał mnichów... ze smartphonem w ręce. Co prawda, wg klasztornych reguł, mnich może posiadać na własność tylko szatę, misę żebraczą, parasol i kilka niezbędnych rzeczy osobistych, turyści w podziękowaniu za naukę, wspólny czas itp., często darują im rzeczy kojarzone z zachodnim światem – tablety, telefony. Mnisi przyjmują te dary i nie dziwi już widok dumnego człowieka w pomarańczowej lub czerwonej szacie, ogolonego na łyso, z poważnym wyrazem twarzy, grającego w łamigłówkę logiczną na nowym Iphone'ie. Cóż, XXI wiek dopada w końcu każdego. Piękne jest jednak to, iż dla zdecydowanej większości mnichów nadal najważniejsze i priorytetowe są nauki Buddy, ich przestrzeganie, dążenie do doskonałości i oświecenia, a „zachodnie” dodatki traktowane są jako ciekawostka.

■ „Przyczajony Tygrys, ukryty Smok?”

Jednak nie wszystko w buddyzmie jest piękne i idealne. Nie można bowiem zapominać, iż tworzą go nieidealni ludzie... Tajlandia, świątynia mnichów buddyjskich Luangta Bua Yansampanno w prowincji Kanchanaburi. Mówiąc krócej – najsłynniejsza tajska świątynia z tygrysami, gdzie za określoną przez mnichów opłatą każdy »



» turysta mógł... pogłaskać te dzikie z natury zwierzęta, zrobić sobie selfie z dzikim kotem, a nawet wyprowadzić tygrysa na spacer na smyczy, niczym udomowionego owczarka... Plotki o tym, iż mnisi handlowali tygrysami oraz częściami ich ciał nieestety potwierdziły się po interwencji władz Tajlandii. W lodówkach odnaleziono 40 zamrożonych ciał młodych tygrysów. Badano także, czy nie były one otumaniane narkotykami, gdyż trudno uwierzyć w oswojenie tak groźnych zwierząt. Władze odebrały ponad sto dzikich kotów mnichom, którzy twierdzili, że nic złego nie robili. Szacunki na temat zysków świątyni z „kocięgo” proceduru mówią o kwotach rzędu 3 milionów dolarów zysku rocznie. Z wątpliwej moralnie i prawnie atrakcji turystycznej mnisi uczynili sobie więc bardzo dochodowy biznes... Hmm brzmi znajomo? Cóż, „nasi” kościelni hierarchowie i ojcowie kościoła także słyną na świecie z intratnych „biznesów”. Opat klasztoru w Kanchanaburi walczy cały czas o odzyskanie tygrysów, jednak po zbadaniu proceduru nielegalnej hodowli dzikich zwierząt w klasztorze, powrót kotów pod opiekę mnichów jest co najmniej wątpliwy.

■ Węc jak? Religia czy filozofia?

Na to pytanie raczej odpowiedzi nie znajdziemy nigdy. Jedni w buddyzmie widzą kolejną religię. Dla innych to po prostu styl życia, podyktowany miejscem urodzenia i zamieszkania. Dla mnie buddyzm ma wiele twarzy – i tych mrocznych, i tych pięknych. Na pewno wiele możemy się o sobie nauczyć, krocząc drogą mnichów, chociażby w codziennym życiu. Bo tak naprawdę na całym świecie, droga do doskonałości i dobrego życia jest jedna – ***bądźmy wolni, ale pamiętajmy, że nasza wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka.*** Ta uniwersalna prawda sprawdzi się zarówno w tajskim klasztorze, jak i w Warszawie, w metrze, w godzinach szczytu. ■

Źródła:

<http://www.spidersweb.pl/>

<http://www.national-geographic.pl/>

Dialogi Kota Filozofa

Janina Tyszkiewicz / foto internet

Z okazji Dnia Czarnego Kota

Jestem czarnym kotem, więc jestem kotem – rozpocząłem rozmowę.

- Cóż to za filozoficzne stwierdzenie w duchu kartezjańskim? – Spytała się filozofka.

- Mam futro, więc jestem kotem – dodałem.

- Mam futro, więc jestem myszą – podchwyciła pańcia. – Mam futro, więc jestem niedźwiedziem. Nie tylko koty mają futro.

- Ale większość lądowych zwierząt. Myślę, więc jestem! – Zakrzyknąłem.

- Czarodzieju złoty, nie miaucz tak głośno. Nawet gdybyś nie myślał, to bez dwóch zdań byłbyś. Nie mam, co do tego żadnych wątpliwości – powiedziała.

- Żeby zmienić temat – przerwałem tok naszej rozmowy, – zbliża się listopad i nad kotami zaczynają rozciągać się czarne chmury.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Słyszałem, że w okolicach Halloween ginie więcej czarnych kotów niż w innych miesiącach. Głupi ludzie uważają, że siedzą w nas diabły i szatani, że jesteśmy czarownicami, zamienionymi w koty i zabijają nas w ofierze. Nie wiem tylko komu jesteśmy oddawani – powiedziałem to ze smutkiem. – Jakby koty były czymś innym niż kotami – dodałem.

- To są przesady i zabobony.

- Może tak, ale faktem jest, że koty wtedy masowo umierają. Jestem kotem i mam swoje sprawy, które chciałbym doprowadzić do końca. Nie moją winą jest, iż człowiek na koty rzutuje swoje głupie wyobrażenia o świecie – powiedziałem ze złością.

- Masz rację. Ale czarne koty są bohaterami wielu książek i opowiadań – filozofka tym zdaniem próbowała mnie pocieszyć.

- W których też jesteśmy pomiotami diabła, albo sługusami zła i zemsty. Mściwymi skurczybykami. Nie odpowiada mi taka łatka – powiedziałem.

- No tak, ale gdy się nad tym zastanowić, to nie ma się o co obrażać, ani złościć i przyjąć taką etykietę jako komplement – rzekła pańcia. – Taki Behemot z „Mistrza i Małgorzaty”

ale w tej relacji jest wiele równości i niezależności, więcej niż miałby na służbie u pana Boga. Poza tym czerni nadaje mu elegancji i piękna.

- To tak samo jak mi – powiedziałem ucieśniony.

- Oczywiście. Żadnej plamki, żadnej łatki, tylko dwa białe włoski na szyi. Jesteś najpiękniejszy. Jedynie miodowe oczy rozświetlają twój cudowny pyszczek.

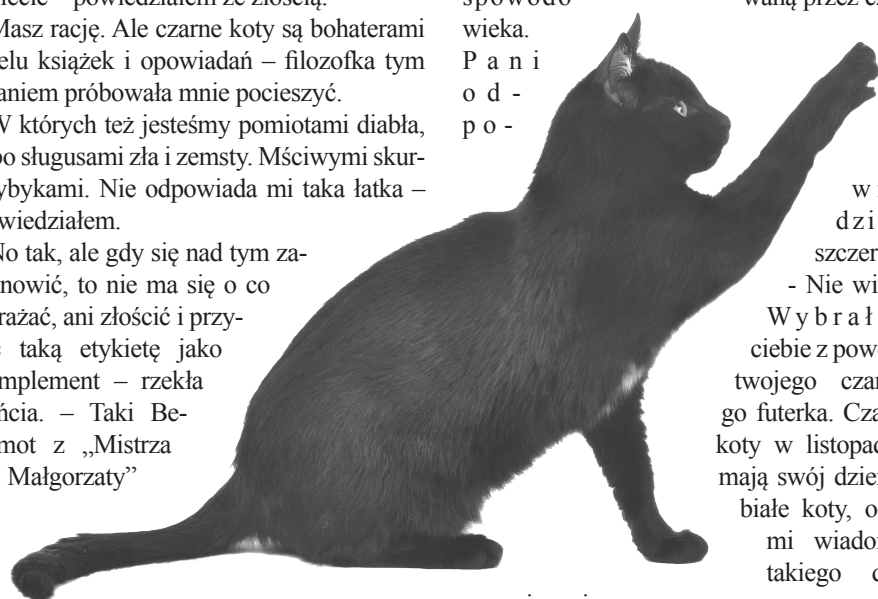
Ile było w tej wypowiedzi entuzjazmu i czułości. Od razu poczułem się lepiej. Jednak za chwilę spochmurniałem:

- Ale czarny kot u Allana Edgara Poe został przez narratora opowiadania „Czarny kot” wyjątkowo podle potraktowany.

- Znowu masz rację. Jednak całe to opowiadanie to jeden wielki wyrzut sumienia narratora, który pod wpływem nadużywania alkoholu staje się coraz okrutniejszy – ciągnęła filozofka. – Znęca się nad ukochanym kotem, wydłubuje mu oko, w końcu go zabija, a potem jeszcze zabija swoją żonę. To raczej jego opanował jakiś demon zła niż kota, chociaż był czarny. Kot demaskuje narratora naprowadzając policję na miejsce, w którym ukrył zwłoki żony – filozofka skończyła mówić. W pomieszczeniu zapadła cisza.

- To dlaczego czarne koty mają przechlapane? – Przerwałem milczenie. – Są rzadziej zabierane ze schroniska niż koty w innych kolorach. Dłużej czekają na adopcję i przysparzanie przez kociarza. Do tego są o wiele bardziej narażone na przedwczesną śmierć spowodowaną przez człowieka.

P a n i
o d -
p o -



wie-
działa
szczerze:

- Nie wiem.

Wybrałam cię z powodu twojego czarnego futerka. Czarne koty w listopadzie mają swój dzień, a białe koty, o ile mi wiadomo, takiego dnia

nie mają.

„Jaka ona jest kochana. Zawsze mnie pocieszyć i podnieść na duchu” – pomyślałem sobie, po czym otarłem się o jej rękę. ■

Michała Bułhakowa chodzi na dwóch łapach, gada po ludzku, jest mądry i pije wódkę. Kwintesencja człowieczeństwa – uśmiechnęła się. – Może i służy szatanowi,

Nieco zabawy - gameboy (znajdź 10 różnic)

Maciej Pyrzanowski



Odpowiedź w następnym numerze

Nieco ekologii

Janina Tyszkiewicz / foto z archiwum organizacji PeTA

Dzień bez Futra, świat bez zbijania

Czy przeciętny człowiek, trochę obyty w świecie, zastanawia się nad korelacjami między zagładą Żydów a hodowlą zwierząt? Czy stosowanie takiego porównania może być zasadne? Jeżeli tak, to w jakich momentach znajdziemy punkty styczne? Jeżeli nie, to jak wybrnąć z kłopotu, że w obu przypadkach mamy do czynienia z masowym cierpieniem i z zaplanowaną na taką samą skalę śmiercią?

■ Masowa zagłada

WTYM ARTYKULE nie będę skupiała się na tym, że porównywanie hodowli zwierząt w ce-

lach konsumpcyjnych we współczesnym świecie do Treblinki, jest jak najbardziej uzasadnione. Aby zapoznać się z problemem polecam książkę Charlesa Pattersona pt. „Wieczna Treblinka” (wyd. Vega!POL,

Opole 2003). Polecam również teksty I. B. Singera, Żyda polskiego pochodzenia, laureata literackiej Nagrody Nobla, wegetarianina, który chyba jako pierwszy porównał współczesne mu hodowle zwierząt do Holokaustu. Polecam teksty Żydów (do znalezienia w internecie), którzy po II wojnie światowej, odrzucali produkty pochodzenia zwierzęcego: jedzenie, skóry, futra, ze względu na zbyt duże podobieństwa ich pozyskiwania z zagładą ludzi w obozach śmierci.

25 listopada obchodzony jest na całym świecie Dzień bez Futra. To jest dobra okazja, aby zastanowić się nad stosunkiem człowieka do zwierząt, nad statusem moralnym i prawnym zwierząt. To jest także okazja, aby pomyśleć o przemyśle modowym, o etyce w modzie (polecam książkę Magdaleny Pionek: *Etyka w modzie, czyli CSR w przemyśle odzieżowym*; wyd. MSKPU, Warszawa 2013), która odnosi się do branży odzieżowej nie tylko na poziomie praw pracowniczych człowieka, lecz również praw zwierząt. To czas, gdy warto zastanowić się nad swoją odpowiedzialnością za stan świata, Ziemi, która nie jest wyłącznie miejscem życia dla ludzi.

Kiedy pytam się dzieci na etyce, czy chciałyby żyć w świecie, w którym byłoby tylko ludzie, zawsze bez zastanowienia odpowiadają: „nie”. Według nich, byłoby to nudne i mało ciekawe miejsce. Co się wobec tego dzieje, że ci mali ludzie, gdy stają się dorosłymi, bez skrupułów wchodzi w życie pełne ukrytej przemocy, jaka rozgrywa się w miejscach coraz lepiej chronionych przed ludzkim okiem: na fermach futrzarskich, w rzeźniach, na fermach hodowlanych dla kur niosek i mlecznych krów, w laboratoriach naukowych?

■ Od kiedy myślimy o zwierzętach?

Ruch Wyzwolenia Zwierząt swoimi początkami sięga lat 70-tych XX wieku, ale walka o prawa zwierząt i namysł nad ich statusem moralnym rozpoczęły się już w starożytności. Być może w latach 70-tych masowy chów zwierząt zaczął przybierać monstrualne rozmiary. Być może ludzie, głównie młodzi, na sytym Zachodzie zaczęli zastanawiać się, co kryje się za szeroko dostępnym jedzeniem i tekstyliami. Z całą pewnością wtedy nastąpiła sprzyjająca atmosfera, która pozwoliła rozpocząć badania nad tym, co dzieje się ze zwierzętami za zamkniętymi drzwiami ferm hodowlanych i laboratoriów.

W 1780 roku ukazała się książka Jeremy Bentham, wybitnego utilitarystycznego filozofa, pt. *The Principles of Morals and Legislations* (polskie wydanie: *Wprowadzenie do zasad moralności i prawo-»*

» dawstwa; wyd. PWN, Warszawa 1958), w której Bentham pisał tak: „Oby nadszedł dzień, gdy reszta żywych stworzeń otrzyma prawa, których mogła ich pozbawić tylko ręka tyrana (...). Oby nadszedł dzień, gdy wszyscy uznają, iż liczba nóg, włochatość skóry (...) nie są argumentami przekonującymi, aby wolno było doznającą uczuć istotę wydać na męczarnie. Ze względu na co można by wytyczyć nieprzekraczalną granicę? Czyżby ze względu na zdolność do rozumowania, a może dar mowy? Jednakże dorosły koń lub pies jest bez porównania rozumniejszym i zdolniejszym do porozumiewania się zwierzęciem od dziecka mającego dzień, tydzień czy nawet miesiąc życia. Przypuśćmy jednak, że jest inaczej. Co to by mogło być? Należy pytać nie o to, czy zwierzęta mogą rozumować ani czy mogą mówić, lecz czy mogą cierpieć” (za: Dorota Probuca, „Filozoficzne podstawy idei praw zwierząt”, wyd. Universitas, Kraków 2013).

Dzisiaj, z całą pewnością wiemy, że zwierzęta cierpią, że odczuwają ból, wiemy nawet, że ryby mają głos. Im bardziej rozbudowany jest system nerwowy, tym większa zdolność odczuwania cierpienia. Skomplikowany zbudowany mózg jest charakterystyczny dla wszystkich kręgowców (ryby, płazy, gady, ptaki i ssaki). Właśnie te zwierzęta podlegają największej eksterminacji dokonywanej przez człowieka. Zwierzęta, które stanowią najbliższą rodzinę *homo sapiens* spośród wszystkich organizmów występujących na Ziemi.

sem i chorobami. Śmierci zwierząt nadajemy sens naszej użyteczności, odcinamy się od nich poprzez górnolotne stwierdzenia o duszy i wolnej woli oraz zdolności do rozumowania i mówienia, które jakoby mają charakteryzować wyłącznie człowieka. Czy te argumenty, nawet jeśli prawdziwe, upoważniają człowieka do przyznania sobie prawa do masowego, niespotykanego nigdy wcześniej, uśmiercania zwierząt?

Dla lisów i norek ferma futrzarska to wieczna Treblinka. Dla kotów, psów i myszy laboratoria naukowe to wieczna Treblinka. Dla świń i krów ferma hodowlana to wieczna Treblinka. Dla kur niosek życie to wieczna Treblinka.

Czy ktoś z czytelników zwrócił uwagę, że spośród wymienionych zwierząt, tylko kury nie są ssakami? A kim jest człowiek w tym towarzystwie? Ssakiem jak pies, kot, krowa, świnia, lis i norka. Kręgowcem – jak kura.

Olga Tokarczuk w książce „Moment niedźwiedzia” (wyd. Krytyka polityczna, Warszawa 2012), tak pisze w rozdziale pt. Maski zwierząt: „Cierpienie człowieka łatwiej jest mi znieść niż cierpienie zwierzęcia. Człowiek ma własny, rozbudowany, rozgłoszony wszem i wobec ontologiczny status, co czyni go gatunkiem uprzywilejowanym. Ma kulturę i religię, żeby wspierały go w cierpieniu. Ma swoje racjonalizacje i sublimacje. Ma Boga, który go w końcu zbawi. Ludzkie cierpienie ma sens. Dla zwierzęcia nie ma ani pociechy, ani ulgi, bo nie czeka go żadne zbawienie. Nie ma



■ Kto najbardziej cierpi?

Może to, co teraz napiszę, zabrzmi nadto egzaltowanie, ale to właśnie to nasze biologiczne „rodzeństwo” zasługuje na najpełniejszą ochronę, podczas, gdy jest ono upychane w ciasnych klatkach, jest skazywane na życie, którego jedynym celem jest wczesna śmierć poprzedzona stre-

szem. Ciało zwierzęcia nie należy do niego. Duszy nie ma. Cierpienie zwierzęcia jest absolutne, totalne”.

25 listopada przeprowadźmy refleksję nad tym kim jesteśmy, my – ludzie i jak odnosimy się do zwierząt w naszym życiu, które również kiedyś się zakończy, oby nie w cierpieniu. ■

Nieco podróży

Maciej Pyrzanowski / il. autor

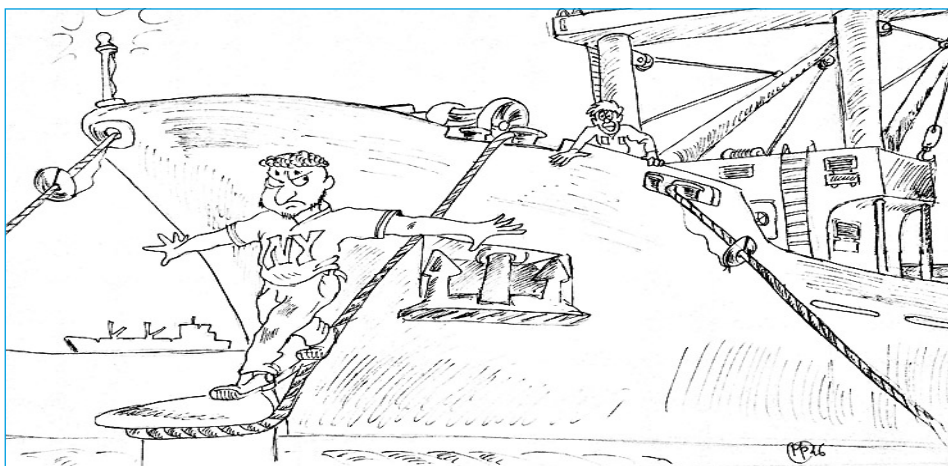
Nienawiść Ali Baby

ZACZYNAJMY rozładunek. Bosman przenosi bomami drewno na keję. Ja zapisuję każdą sztapłę i to samo miejscowemu „liczmen”. Stare numery z liczeniem pominię, bo tu to samo, co w Alexandrii. Kumpel ściąga sling z drewna i odkłada. Miejscowym „liczmenem” jest stary dziadek w turbanie. Choć, znając miejscowe realia, to wiem, że dziadek może mieć równie dobrze 40 tkę jak i 60tkę. Daktyle konserwują, zdaje się, inaczej. Ale widać, że wzbudza szacunek wśród miejscowych. No to liczymy. Kumpel od slingów w chwili przestoju wyciąga fajkę i szuka zapalek. Patrzę na arabów. Spojrzenia najpierw zszokowane potem wiadomo. Bij, zabij w oczach. Zaczynają wrzaski i pokazywać na kumpla. Wyciąg z pyska tego szluga, mówię. Jak mają Ramadan (bo to pewnie o to chodziło) to nie mogą żreć, pić, ani nic w ciągu dnia. Palić chyba też. Schował fajkę, ale brodacze w sukienkach (wszyscy mają te swoje długie nie wiem co na sobie) dalej drą japy i wskazują palcami. Idę do dziadka od liczenia. Przepraszam go za kolegę i tłumaczę, że on nie chciał palić. Dziadzia coś tam tłumaczy i spokój. Teraz chodzimy palić na pokład. Pić wodę też. Ale czuję, że mam dług u dziadka i się o niego upomni. Ciekawe kiedy.

Lecą palety drewna jedna za drugą. Góra slingów rośnie. W międzyczasie pojawia się jakiś nowy. Ubrany jak Hasan albo Sindbad Żeglarz. Turban, białe bufiaste portki i brązowa kamizelka. Do tego biała długa koszula, jak większość tutaj. O brodzie nie mówię, bo jak ktoś jej nie ma to ewenement. Piśzę o tym, co widziałem. Nie wiem, jak jest gdzie indziej. No więc Sindbad mnie „rozpoznał”. „Hello my friend”. No, hello stary. Cóż za przyjazna okolica. Krąży, kombinuje, uśmiecha się. Jak tylko spojrzę, macha przyjaźnie ręką. Kurwa, chyba za niego wyjdę, jak nie przestanie. W końcu widać powziął decyzję, bo podchodzi. Wolnym krokiem jak w jakimś kabarecie. Ręce z tyłu. No po prostu gość na spacerze. W porcie. Pod dźwigami. Obciera się o mnie brzuchem. Coraz natręczywiej. W końcu odskakuje jak oparzony. My friend, krzyczy. Zgubiłeś coś. Rzucił mi pod nogi banknot i zaraz go podnosi. No tu mnie masz. Ślub od razu. Próbuje mi wsadzić w kieszeń kasę. To nie moje, mówię. Zabieraj. O, przepraszam my friend. To też zgubiłeś. Upuszcza drugi banknot ichniej waluty i zaraz go podnosi. Upuściłeś, my friend, a ja nie zauważyłem. To twoje. Przepraszając się uśmiecha i dalej wciska mi to w kieszeń. Nie moje stary. Zabieraj się z tym. Dziadek od liczenia udaje, że nie widzi, »

» ale kątem oka obserwuję. Reszta arabów też. Widać, że Sindbad trzyma się na dystans od dziadka i jego ekipy. A ci chyba też nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Jest coś jeszcze, bo znając friendów wiem, że by go wrzaskami pogonili, gdyby był zwykłym intruzem. Więc ktoś się kogoś boi. No ale pogoniłem Sindbada i wracamy do liczenia. Gdzieś mi zniknął. Koło południa przerwa. Ruch zamiera. Słońce pali nieśmiertelnie. Dziadek pozdrawia mnie ręką i uśmiecha się. Miałem iść na obiad na zmianę z kumplem, ale podchodzę do dziadka. Przyniosę jutro daktylę. Dużo. Trochę na gesty, trochę po angielsku, a resztę przez młodego brodacza mi tłumaczy. Nie, nie dziękuję. Nie trzeba. Przyniosę, my friend. W sumie to czekałem kiedy i jego friendem się okaże, że jestem. Naturalna kolej rzeczy tutaj. No dobra. Czekam na wielkie „ale”. Starzec pokazuje kościstym palcem na stertę slingów. Dziesięć. Ja nie mogę, bo to armatora. A ja zwykły matros. Ale idę na obiad. Nazajutrz był dzień daktyla.

Tymczasem wracam po obiedzie i zmieniam kumpla. Na kei nadal marazm i cisza. Rozglądam się za Sindbadem Żeglarzem. Zniknął. Ślubu nie będzie. Jeszcze trochę, a pewnie znalazłby „zgubioną” przeze mnie sztabę złota. Z czystego tombaku. Pewnie slingi potrzebuje, bo nasze dechy to sobie będą kraść, jak już je rozładujemy. Siadam na chwilę. Cisza. Po chwili słyszę jakieś szmery. Rozglądam się i... Jakież moje nie-zdziwienie było gdy zobaczyłem głowę Sindbada nad górą slingów. Nie widział mnie. Czujnie rozejrzał się wokół i dawaj wydłubywać liny. Podkraǳłem się do niego za wyładowanymi dechami. Jak już byłem całkiem blisko wrzasnąłem „ta-da!!!”. Nie umiem opisać miny Sindbada. Z ręczników wypadł mu plik świeżo wyciągniętych slingów. Ale trzeba przyznać był wytrawnym rabusiem. Bo szybko umiał się znaleźć. „I am not Ali Baba, I am not Ali Baba!!!” Zaczął wyrzaskiwać jak nakręcony. Ktoś potem mi powiedział, że Ali Baba to po arabsku złodziej. Nie wiem, czy w znaczeniu, czy synonim. Sindbad dalej zaklinał się, że nie jest żadnym Ali Babą. Przypomniawszy sobie również o pieniądzach, które „zgubiłem”. Zaczął mi je wciskać. Spadaj, friend. Wraca dziadek od liczenia ze swoją ekipą. Sindbad odpuszcza i znika. Na koniec zapewnia mnie ponownie, że on żaden Ali Baba. Wierzę stary. Ali Baba nie kradł slingów. Wracamy do rozładunku. Bomy hulają do wieczora. Potem przerwa do rana. Wieczorem wachta przy trapie. Na wachcie odwiedzają nas marynarze z chłodniowca. Arabowie. Ukradli banany z ładowni i pytają czy nie kupimy. Zielone kiście na półtora metra. Nie chłopaki, nie chcemy. Po wachcie kima i rano znowu na kei liczenie i pilnowanie. Dziadek przyniósł daktylę.



Zanim zaczął się jednak ponownie rozładunek, rankiem obserwowałem z pokładu scenkę. W jakimś budynku naprzeciw statku były rozwalone drzwi. Przyszedł gość w uniformie roboczym z grupką sukienkowych brodaczy. Gość wyglądał dyrektorsko. Pokazał im na drzwi, coś pogestykułował, okraślił krzykiem i poszedł. No i zaczęło się naprawianie drzwi. Jak ktoś oglądał bajkę „Sąsiedzi” to ma wyobrażenie, jak oni to robili. Drzwi był zrobione klasycznie: kilka pionowych desek zbitych dwoma poprzecznymi. W tym zamek i zawiasy. Proste drewniane drzwi, wstawione pewnie w miejsce starych i solidnych (sądząc po budynku). Jedną dechę z tych pionowych była ułamana u dołu tak, że zwierzę mogło się tam wcisnąć. Prosta sprawa wymienić dechę albo dociąć na wymiar do ubytku i z drugiej strony przybić. Po chwili już zebrała się nas grupka przy trapie i obserwujemy, co oni z tym robią. W sumie, to sąsiedzi z bajki to przy nich inżynierowie. Oczywiście kupa wrzasków i gestykulacja, bo jakżeś by inaczej. Przymierzają dechę raz tak, raz smak. Nic im nie wychodzi. W końcu przyszedł jakiś dziadek – liczman, z ekipą, więc idę i ja. Rozładunek. Kończymy dość szybko, bo część ładunku zostaje do Alexandrii. Po rozładunku klarujemy pokład, sprawdzamy mocowanie kłap ładowni, zbieramy co nasze z nabrzeża i czekamy na odprawę i pilota. Przed wyjściem przeszukanie statku. Jak zwykle w takich krajach, szukamy blindziarzy. Czyli pasażerów na gapę. Oni nie wiedzą, że płyniemy do innego arabowa. Dla nich statek z friendami to przepustka do Europy. Krainy zasiłków, nic nierobienia za pieniądze niewiernych. Słyszałem o wielu którzy przeżyli szok gdy się dowiedzieli, że uciekli z biedy do jeszcze większej biedy. Bo zablińdowali w, powiedzmy, Liberii, a statek płynął do Nigerii itp. I cała męczarnia podróży na gapę

w jakimś obleśnym zakamarku statku o głodzie na nic. Na miejscu zamiast europejskiej opieki i możliwości żądania wszystkiego i wszędzie, zwykły wpierdol i paka. No więc przeszukujemy wszelkie zakamarki. Wpada też miejscowa czarna brygada. Czyli celnicy. Też przeszukują statek, ale nie tak dokładnie jak my. Wchodzą z pustą dużą torbą, a wychodzą z pełną. Ten widok w Afryce często widywałem. Tylko ilość toreb się zmieniała. Schodzą celnicy, wchodzi pilot. Manewry i odchodzimy. Do burty podpływa pilotówka i zabiera pilota. Zwijamy sztormtrap.

Algier żegna nas nawoływaniem muezinów. Każdą religię uważam za szkodnika ludzkości. Sprawia, że dobrzy ludzie robią złe rzeczy. Ale czasem jest jedyną nadzieją żeby znieść gnój świata w jakim człowiek się urodził. Jego bród, będę i niesprawiedliwość. Religia jest dla biednych ludzi niebiańską Europą z niekończącymi się zasiłkami, bezkarnością i opieką troskliwego Pana. Jeśli daję nadzieję, czyni człowieka lepszym, to dobrze. Była trzymiana w sercach, domach. Była nie wylewała się na ulicę. To, co widywałem i poznałem w krajach arabskich, to czysta nienawiść do inności. Odsączona, wydestylowana nienawiść wpojona i pielęgnowana w ścianach świątyń. To jest złe. Wielu twierdzi, że islam to miłość. Ludożercy też lubią ludzi. W końcu ich jedzą. Ktoś pewnie mi zarzuci, że mądruję się na podstawie kilku pobytów w krajach muzułmańskich czy spotkań z nimi gdzie indziej. Wcale tam nie mieszkalem, a wypowiadam się, jak jakiś specjalista. Nie, nie jestem nim. Straszne jest to, że ktoś tylko się sporadycznie stykający z nimi wyrabia sobie takie zdanie. To raczej reguła niż wyjątek. I to jest potworne. Wystarczy się zetknąć, by się bać i nie lubić. To nikogo nie zastanawia? Dlaczego chrześcijaństwo, judaizm czy buddyzm nie wywołują takich skrajnych reakcji? Przy okazji, gdybym tam gdzie pomieszkał, pewnie już bym nie żył. To tyle z moich wynurzeń na ten temat.

Płyniemy do Alexandrii. Pogoda piękna. Na statku roboty huk bo stary chce wypaść jak najlepiej przed kontrolą. ■

Andrzejki

„Słuchałam od swej matczy, /
Gdy która mówi pacierze,
W wigilię Jędrzeja świętego,
Ujrzy oblubieńca swojego”.
Marcin Bielski

BRZĘDOWOŚĆ Słowian dotyczyła podziału na „drogę bogów” i „drogę przodków”. Pierwsza grupa obzędów przypada na okres wiosny i lata, światła i dobroczynności. Druga na czas jesieni i zimy, ciemności i łączności z duchami zmarłych. Późna jesień, brak roboty w polu i coraz niższe temperatury u schyłku listopada sprzyjały organizowaniu tych matrymonialnych zabaw.

zwyczaje andrzejkowe są dzisiaj przez kościół potępiane. Andrzejki, Andrzej, Jędrzeje, Jędrzejówki to różne nazwy wieczorów wróżb organizowanych w różnych regionach. Wiele lat chrystianizacji i przyjmowania zwyczajów innych kultur mogło mieć wpływ na zatarcie pewnych pierwiastków kultury Słowian, ale sporo z niej pozostało i dziś jeszcze możemy uczestniczyć w tych wspaniałych wydarzeniach, choć nie zawsze zdajemy sobie sprawę z genezy owych tradycji.

Źródłem tradycji andrzejkowej są wierzenia przedchrześcijańskie europejskich ludów, do których swój pierwiastek wnieśli także Słowianie. Czerpały z obyczajów

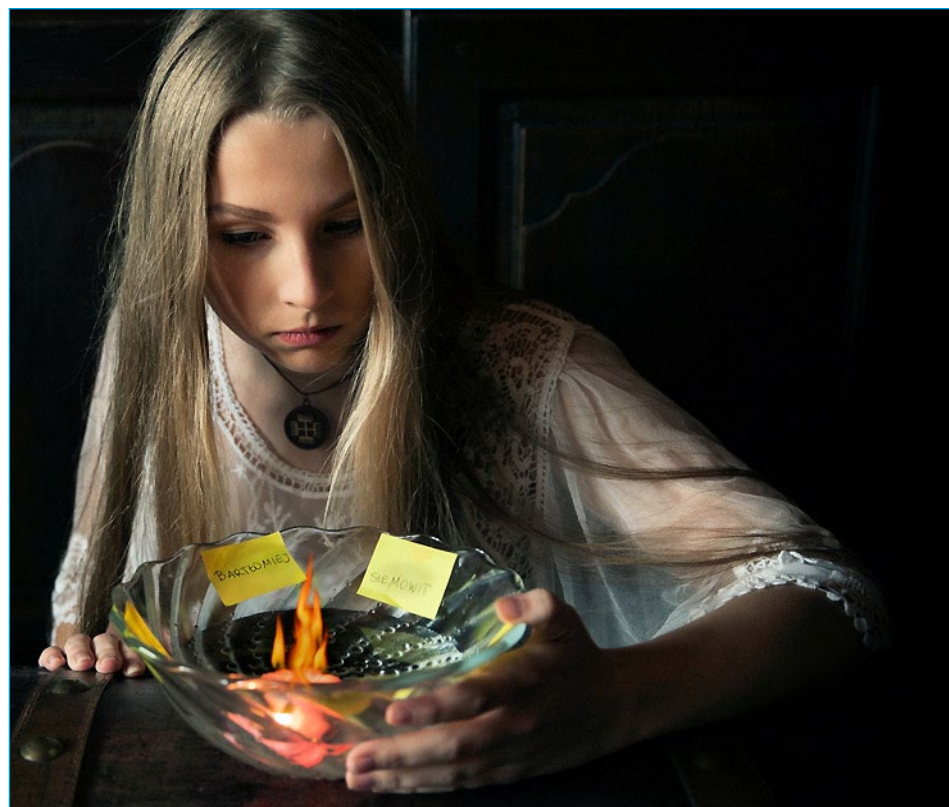
znania przyszłego partnera. Wróżby te były aktem łączności z tamtym światem i traktowano je bardzo poważnie, dlatego początkowo organizowano je rozłącznie i młodzi bawili się w odosobnieniu. Dopiero z czasem te owiane tajemnicą pierwotnej magii odosobnione spotkania przekształciły się w ludową rozrywkę.

■ W domu i w obejściu, ze zwierzętami i roślinami

Z zapisu kronikarza i pisarza Marcina Bielskiego z 1557 roku można dowiedzieć się, że andrzejki miały być czasem swawolnych zabaw i folgowania w jedzeniu i piciu przed nadchodzącym adwentem. Wspomina o tym w swojej sztuce: „Komedya Justyna i Konstancyj”. Wielką wagę przywiązywano do snów bo w tę magiczną noc mógł pojawić się w nich przyszły małżonek. Aby nie pominąć żadnego szczegółu w przygotowaniach, panny cały dzień pościły, a przed pójściem spać zjadały solonego śledzia, nie popijając niczym. Pod prześcieradło lub poduszkę kładły sztukę męskiej garderoby. Przy łóżku stawiano miskę z wodą i patyczkami, które gdy ułożyły się w mostek ułatwiały nadejście snów o ukochanym. Sen o erotycznej symbolice, mężczyzna, pies, diabeł lub ptak oznaczały, że magia zadziałała.

Wróżby andrzejkowe przybierać mogły różną formę, ale głównym ich celem było zawsze wyłonienie przyszłego małżonka. Lano воск na wodę i obserwowano jego odbicie. Losowano przedmioty o symbolicznym znaczeniu i odczytywano je jako przepowiednię. Ustawiano buty jeden za drugim w kierunku wyjścia i właściciel buta, który jako pierwszy przekroczył próg miał rychło stanąć na ślubnym kobiercu.

Bywało, że i zwierzęta miały swój wkład w wieczornych wróżbach. Przygotowywano kości lub kulki z ciasta symbolizujące poszczególnych kawalerów i dawano psu. Pieczono też placki, które wysmarowane tłuszczem wabiły czworonoga. Właścicielka pierwszego placka, którego zje pies miała rychło wyjść za mąż. Nieco mniej przyjemności z tego wróżenia miał gąsior, którego z zawiązanymi oczami wprowadzano do izby z czekającymi tam na niego dziewczętami. Która z panien została jako pierwsza potraktowana z większą uwagą przez gąsiora lub uszczypnięta, ta miała zostać szybko wydana za mąż. Czasami także kogutowi dawano szansę na uszczęśliwienie panny. Wprowadzano go do izby, w której siedziały dziewczęta z rozsypianymi przed sobą ziarnami pszenicy. Nietrudno się domyślić, że panna której ziarenka zjadł kogut, miała wkrótce zostać mę- ➤



■ Złota Baba, Godun i chrześcijaństwo

Na 24 listopada przypadało święto Złotej Baby, podczas którego dziewczęta wróżyły sobie przyszły los, a chłopcy - jaką kto będzie miał żonę. Ciężarne kobiety modliły się o lekki połóg. 30 listopada zaś przypadało święto Goduna z wróżbami matrymonialnymi, które owocowały później całorocznymi adoracjami. Bywało, że dziewczyna chciała odrzucić zaloty kawalera, częstowała go wtedy gęsiną w czarnej zalewie lub przywiązywała worek grochu wino do bryczki, którą ów przyjechał.

Święto to zostało zaanektowane przez chrześcijaństwo jako andrzejki. Jednak

starożytnej Grecji, jest także podobieństwo do kultu starogermańskiego boga Frejra, który przypominał słowiańskiego Roda. Wróżyły w wigilię świętego Andrzeja panny na wydaniu w Niemczech, na Ukrainie i Białorusi, w Szwajcarii, na Słowacji i w Czechach, w Rosji, Rumunii, na Węgrzech i Litwie, w krajach śródziemnomorskich, zwłaszcza na wyspach greckich. Wierzono, że tego wieczoru duchy przodków zstępują na ziemię po to, by oznajmić pannom i kawalerom prawdę o ich przyszłości.

W przeddzień świętej Katarzyny, 24 listopada, wróżyli sobie młodzińcy a w przeddzień świętego Andrzeja, 29 listopada, dziewczęta. A wszyscy z intencją po-

» żatką. Dziewczyna mogła sama eksperymentować stawiając przed kogutem wodę i ziarno. Jeśli wybrał on wodę panna dostanie biednego męża, jeśli zaś ziarno – bogatego.

Dziewczęta (zwłaszcza na Kresach Wschodnich) wysiewały w garnku lub na skrawku pola ziarna lnu i konopi, które później zgrabiano męskimi spodniami w nadziei, że sprowadzi to do domu kandydata na męża. Ścinały gałązkę wiśni lub czereśni w dniu świętego Andrzeja i jeśli zakwitła była to wróżba na rychłe zamążpójście. Tego szczególnego wieczoru nasłuchiowano odgłosów szczekania psów, bo wskazywały one kierunek, z jakiego nadejdzie przyszły mąż. Wróżono z kropel wody i atramentu. W zależności od tego, w którą stronę pochylił się płomień zapalniczki umieszczonej pomiędzy nimi, przyszły mąż miał mieć włosy jasne lub ciemne. Jeśli płomień nachylał się obie strony znaczyło to, że dziewczyna będzie miała dwóch mężów.

O północy gotowano pyzy wkładając do niektórych karteczki z imionami mężczyzn. Niektóre z dziewcząt miały szczęście znajdując na talerzu właśnie te. Panny liczyły kołki na płocie recytując: kawaler, wdowiec, kawaler, wdowiec... Nie zawsze ostatni kołek spełniał oczekiwania. Liczono także drewnka na opał – parzysta liczba dawała nadzieję na rychłe połączenie się w parę i ślub w najbliższym czasie. Przyklejano karteczki z imionami chłopców do brzegów miseczek i zapalano pośrodku świeczkę. Która kartka zapaliła się jako pierwsza takie imię będzie miał przyszły mąż. Jak widać wiele przedmiotów codziennego użytku nadawało się do wróżb. Wykorzystywano do tego także skórki z obranego jabłka. Rzucona za siebie przez ramię przybierała kształt pierwszej litery imienia przyszłego męża zaś jej długość świadczyła o długości pożycia małżeńskiego.

■ *Dobrej zabawy!*

Jesienne wieczory wróżb z całą pewnością mają niechrześcijańskie pochodzenie i są pozostałością dawnego obyczaju pytania odwiedzających chaty duchów o przyszłość. Powszechne było pragnienie rychłego zawarcia związku małżeńskiego i troska o przyszłość. Było to ściśle ze sobą powiązane, gdyż życie w staropanieństwie wiązało się z biedą i wszelkim niepowodzeniem. Troska o przyszłość towarzyszy nam i dzisiaj, jednak już z pewnym dystansem uczestniczymy we wróżbach andrzejkowych, które mimo iż nie odpowiadają nam na najważniejsze nieraz pytania, to jednak dostarczają mnóstwa humoru i dobrej zabawy. ■

Niecodzienny reportaż

Joanna Kędzierawska - WASZA Dziewucha / foto autorka

Czarna rozpacz



PROLOG 23 wrzesień 2016r.

DZIEŃ jak co dzień, jednak miliony Polaków czekało tego dnia na jedną wiadomość – co Sejm Rzeczypospolitej Polskiej zrobi z dwoma skrajnie różnymi projektami obywatelskimi, dotyczącymi aborcji. Jeden – zgłoszony przez **Komitet „Stop aborcji”** radykalnie zakazywał usuwania ciąży w każdym przypadku, a za nieposłuszeństwo przewidywał kary – nawet pozbawienia wolności. Drugi projekt – **Komitetu „Ratujmy kobiety”** – liberalizujący prawo aborcyjne, przewidywał, że usunąć ciążę można do 12 tygodnia. Potem uczynić można by to było w przypadkach takich, w jakich obecnie można to zrobić... Głosowanie. Wynik. Szok i niedowierzanie. Bo o ile do odważnych decyzji rządu Jarosława Kaczyńskiego zdążyliśmy się przyzwyczaić, to tego co się stało tego dnia, raczej nikt się nie spodziewał. Jednym ruchem Sejm odrzucił projekt łagodzący prawo aborcyjne, drugim – przepchnął do Komisji skrajnie prawicowy, dla wielu barbarzyński projekt „Stop aborcji”...

23 wrzesień – 2 październik 2016r.

Najkrócej – burza w internecie, szaleństwo na Facebooku, obłęd w serwisach informacyjnych, pełna mobilizacja kobiet od lat 5 do 105. Miarka się przebrała. Pospolite ruszenie i planowanie ogromnego protestu na skalę kraju stało się faktem. Pod koniec września już każdy wiedział, że ten dzień zapisze się w historii Polski. Od morza do Tatr huczało od głośniejszych protestów kobiet. Jak nigdy setki tysięcy pań zaczęły

krzyczeć jednym głosem – **NIE! Nie zgadzamy się.** Tylko w Sejmie jakoś tak cicho... Weekend minął. Nadszedł poniedziałek i...

3 październik 2016r.

Ten dzień zapisze się w historii Polski na zawsze jako „czarny poniedziałek”. Tego dnia setki tysięcy kobiet z całej Polski (i nie tylko) wyszły na ulice i zjednoczyły się pod jednym hasłem – **chcemy być wolne i same decydować o swoich ciałach i swoim życiu.** Protest, w którym wzięła udział ogromna masa kobiet, mężczyzn, a nawet dzieci, był historycznym odzewem na przepchnięcie w sejmie dla wielu nieludzkiego projektu obywatelskiego, który powstał w instytucie Ordo Iuris. Zakłada on, że dotychczasowe prawo kobiet do legalnej aborcji w **trzech przypadkach: gdy ciąża pochodzi z czynu zabronionego (gwałtu, kazirodztwa), gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu matki i gdy płód w łonie matki jest genetycznie uszkodzony lub chory** – ma być całkowicie zniesione. Od tej pory kobiety miałyby rodzić dzieci śmiertelnie chore (patrz: dzieci Chazana), ryzykować życie, gdy ciąża zagnieździ się nie w macicy, a np. w jajowodzie. Projekt „stop aborcji” zakłada także tak potworne scenariusze jak nakazywanie rodzenia dziecka... dziecku. Bo nie ważne, czy zgwałcona została 30latka, czy 12latka – obie w przypadku zajścia w ciążę **MAJĄ OBOWIĄZEK urodzić to dziecko**, inaczej spotkają je konsekwencje prawne. Brzmi jak kiepski żart? Jak scenariusz horroru? Wielu ludziom jeży się skóra na myśl, iż można np. ryzykować życiem matki trojga dzieci, gdy ta zajdzie w »

» czwartą ciężką zagrażającą jej życiu i zabronić jej usunąć. Tzw. „obrońcy życia” zaciekle bronią zygot, zapominając o dzieciach, które już są. Ten horror w niedługim czasie może stać się rzeczywistością, dlatego tak wiele osób powiedziało **dość** tego dnia i wyszło manifestować swoje oburzenie na ulice dziesiątek miast. Sama idea protestu narodziła się po słowach Krystyny Jandy, która wątpliwym głosem stwierdziła, iż „*Niestety wśród kobiet polskich nie ma solidarności za grosz*”. Przypomniała także strajk w Islandii 24 października 1975 roku, gdy 90% Islandek zostawiło pracę, domy, dzieci i wyszło walczyć o swoje prawa na ulice. Paraliż kraju, jaki wtedy nastąpił, strach władzy przed taką „siłą” spowodował, iż do dzisiaj Islandia uchodzi za jedno z najbardziej przyjaznych kobietom państw świata. Słowa Krystyny Jandy zapoczątkowały prawdziwą lawinę – na Facebooku pojawiały się kolejne grupy – najpierw ogólna - „Ogólnopolski Strajk Kobiet”, potem, jak w efekcie domina, zaczęły powstawać kolejne grupy lokalne – Warszawa, Kraków, Katowice, Wrocław.... Dziesiątki miast poczęły jednoczyć się pod wspólnym hasłem #czarnyprotest! To przebudzenie zaskoczyło wielu, gdyż wystąpienia na taką skalę, tak szybko zorganizowanego, przypomnijmy – w dzień roboczy! - niewielu pamięta.

Katowice, 3 października, godzina 16:00.

Czarne niebo, ulewny deszcz, przenikliwy wiatr. Sceneria idealnie dopasowana do obrazu tysięcy kobiet, które – doprowadzone do skrajnej furii - całe w czerni, z czarnymi parasolami wykrzykiwały na katowickim rynku hasła, mające trafić prosto w serce naszego rządu. „*Moja Macica- moja sprawa!*”, „*Nie czyńcie czarnej nocy w biały dzień*”, „*Chcę być wolna!*”, „*Jestem ZŁA*” - te i dziesiątki innych haseł królowały na plakatach, transparentach i flagach. Wzruszający był widok starszej pani, która z uśmiechem stała murem z młodymi kobietami, trzymając wieszak, a na nim kartkę „Jarek władca szparek”. Ironicznie, dosadnie. Pięknie. Główny manifest w Katowicach trwał do wieczora. Mimo, iż pogoda nie dopisała, frekwencja była zaskakująco duża. Rynek pełny. Oczywiście nie obyło się bez problemów - komunikacja w centrum została na czas protestu sparaliżowana, tramwaje stały często po kilkadziesiąt minut, ale kobiety i tu potrafiły się zjednoczyć – z głośników i setek gardel co chwile padały okrzyki - „puśćcie tramwaj!” - co w kilka chwil skutkowało odblokowaniem komunikacji. Z zaciekawieniem obserwowałam kontrmanifestację, tzw. „*biały protest*”. W mediach wieczorem można było posłuchać, iż

„w Katowicach pojawiła się bardzo liczna grupa obrońców życia.” Mimo szczyrych chęci i zaangażowania, nie udało mi się naliczyć więcej niż kilkanaście osób, które trzymały spory transparent z napisem „*Aborcja to zabijanie dzieci*”, a zza manifestantów, z głośnika monotonnym głosem przemawiał lektor, którego zapętlone kilkuminutowe monologi nie trafiały chyba nawet do zwolenników ustawy „Stop aborcji”. Dzień się skończył. Manifestacja się skończyła. W mediach nie mówiono o niczym innym, tylko o czarnym protestie. Trwały debaty - w telewizji, radiu, internecie, gazetach, w domach - co ta głośna deklaracja sprzeciwu da kobietom? Jakie będą kroki rządu? Co zrobią politycy w tej sytuacji? To miało okazać się już niedługo...

4 października 2016r.

Głośnym echem odbiły się słowa naszego Ministra MSZ Witolda Waszczykowskiego, który zasłynął wcześniej już błyskotliwymi wypowiedziami, dotyczącymi np. wegetarian i rowerzystów. Człowiek ów z racji pełnienia takiego, a nie innego stanowiska powinien być przykładem dyplomacji i elokwencji w wyrażaniu opinii. Jednak nie w Polsce. Na pytanie o „czarny protest” Pan minister powiedział, iż jest to „*kpina z bardzo ważnych kwestii*”, a o kobietach, które setkami tysięcy wyszły na ulice miał rzec - „*niech się bawią, jeśli ktoś uważa, że nie ma większych zmartwień w Polsce*”... Zabolalo, nie tylko kobiety, ale nawet kolegów z partii pana Waszczykowskiego, gdyż natychmiast odcięli się oni od – rzekomo – prywatnej opinii ministra. Inni rządzący co chwilę zmieniali zdanie na temat tego, co się wydarzyło. Widać było panikę, czuć było strach. Po wypowiedzi Pawła Latosa z PiS, iż „*Mimo wolności sumienia, mimo swobody głosowania, nikt w PiS nie myśli o tym, żeby karać kobiety*” większość pukała się w czoło. Bo jak to jest, że tydzień wcześniej głosuje się za zabranie kobietom prawa głosu, a nagle po manifestacji kobiety są pokrzywdzone? Takich sprzecznych głosów, bezsensownych wypowiedzi pod publikę w mediach było mnóstwo. Ale każdy i tak czekał na TEN dzień.

6 października 2016r.

Napięcie, oczekiwanie. W Sejmie atmosfera gorąca jak nigdy. Tego dnia ma się odbyć głosowanie nad przepchniętą wcześniej ustawą „Stop aborcji”. Miliony Polaków śledzą to, co dzieje się na Wiejskiej.... Członkowie Stowarzyszenia Ordo Iuris, skrajni prawicowcy na portalach społecznościowych przesyłają sobie nerwowe wiadomości. Tak pewni siebie. Popiera-



ni przez PiS, przez episkopat, kurie, nagle zamarli w strachu, że ich „pewniak” może nie przejść... I słusznie. Tego dnia Sejm w całości odrzucił projekt zakładający całkowity zakaz aborcji w Polsce. Za odrzuceniem projektu było 358 posłów. Przeciw 32. Dziewięciu wstrzymało się od głosu. „Obserwując sytuację społeczną stwierdziliśmy, że ustawa doprowadzi do przeciwnych skutków od tych, które zakładają wnioskodawcy” - tymi słowami Jarosław Kaczyński zamknął usta ludziom, którzy w milczącym pytaniu nie dowierzali, że ustawa nie wejdzie w życie. Kobiety wygrały. Beata Szydło, aby jeszcze bardziej załagodzić sytuację i przywrócić „dobre imię” swojej partii dodatkowo obiecała (jak my lubimy to słowo), iż do końca roku powstanie projekt, który wspomocze wszystkie kobiety chcące donosić ciążę i urodzić dzieci chore i niepełnosprawne. Premier zapewniła, że PiS dalej jest za ochroną życia i będzie je chronić zawsze, i podejmie ku temu odpowiednie środki... No właśnie jakie?

EPILOG

Tak, wygrałyśmy. Nasze nieme krzyki w końcu stały się głośne i zostały usłyszane. Mamy prawo się cieszyć. Mamy prawo do radości. Dzisiaj. Dlaczego dzisiaj? Bo jutro rząd może złożyć kolejny wniosek, przepchnąć kolejny projekt. Może nie tak radykalny, może nie tak brutalny, ale krok po kroku zamykający nam usta, oczy, uszy. Zapowiedziano już, że Sejm pracuje nad projektem łagodniejszym. Co to jednak ma znaczyć? Dlaczego w ogóle władza zajmuje się jakimkolwiek projektem, który dotyczy naszych ciał i dusz? Kochane kobiety, jesteście wielkie. 3 października byłam z Wami, krzyczałam z Wami, płakałam z Wami. A dzisiaj jestem szczególnie siła, że – chociaż na chwilę – mogę decydować o sobie i swoim ciele. Czujecie ironię? To dobrze. Bądźcie czujne. A tak piękne świadectwo NASZEJ solidarności niech będzie tylko początkiem. ■

Dzień refleksji nad wózkiem na zakupy

W środowiskach kontrkulturowych od lat 90 XX wieku popularny jest Dzień bez zakupów.

Przypada on w ostatnią sobotę listopada.

■ Początek

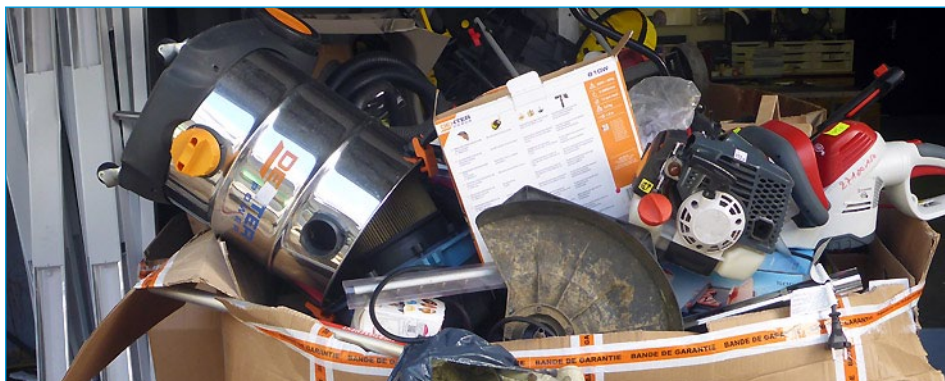
ZAINICJOWAŁ go mieszkający w kanadyjskim Vancouver artysta Ted Dove. Była to jego odpowiedź na szaleństwo reklam, zachęcających do odwiedzin sklepów w tak zwany Czarny Piątek, czyli pierwszy piątek po Święcie Dziękczynienia. Jest to początek corocznego sezonu handlowych zniżek, jakimi są Święta Bożego Narodzenia. Ted wraz z przyjaciółmi uznał, że zamiast tłoczyć się tego dnia przed sklepowymi kasami, zrobią coś dla rodziny. Z niewielkiej akcji ograniczonej początkowo do kręgu towarzyskiego Dove'a, bardzo szybko zrodził się ogólnoswiatowy ruch społeczny. Ktoś powie, że taka akcja uderza w gospodarkę, gdyż opierają się one na konsumpcji lokalnych społeczności.

■ Jestem tym, co mam

Nie chodzi tu o szkolenie, ale chwilę zadumy nad tym, kim jesteśmy we współczesnym świecie. Specjaliści od marketingu zrobili z nas konsumentów, dla nich jesteśmy tym, co kupujemy. Wzorzeców przenieśli do mediów (telewizji, prasy, radia i internetu), do kultury popularnej i wysokiej, literatury, szkół i obyczajów społecznych. Jestem tym, co posiadam. Pracuję, aby posiadać. Wraz z tą tendencją obserwujemy przedziwne zjawisko - wraz z postępem technologicznym większość rzeczy staje się mniej trwała. Koszty zaś ich napraw są większe od ceny zakupu nowych. W ten sposób napędza się w sposób sztuczny koniunkturę. To nie jedyny sposób, aby zamienić wolne jednostki w niemal bezwolnych konsumentów. Otóż specjaliści od marketingu, zarządzający sieciami handlowymi doskonale opracowali system łowienia i osaczenia klientów. Co rusz bombardują nas promocjami i konkursami. Manipulują oświetleniem i ogrzewaniem hal, układają odpowiednią muzykę, grają kolorem półek i ich rozmieszczeniem. Wszystko po to, abyśmy kupili nie tylko to, co sobie wcześniej zaplanowaliśmy, ale to, co sklep chce nam sprzedać w pierwszej kolejności.

■ Super markety a osiedlowe sklepiiki

Musimy przy tym pamiętać, że duże



globalne sieci handlowe dysponują atutami, których nie mają lokalne przedsiębiorstwa handlowe. To te pierwsze są w stanie narzucać producentom drakońskie warunki płatności i rozliczeń. To one drenują państwa trzeciego świata z kapitału, gdyż płacą tamtejszym producentom głodowe stawki. Wyspecjalizowały się one także w maksymalnie skutecznym unikaniu podatków tam, gdzie ich działalność przynosi maksymalne zyski. Znaną są ze zdobywania u organizacji międzynarodowych (np. Banku Światowego) tanich kredytów na finansowanie inwestycji.

■ Ekologia

Ich regionalni i lokalni konkurenci nie mają takich możliwości. Wielkie sieci to również dość lekkie podejście do kwestii ochrony środowiska. To one wypromowały plastikowe reklamówki oraz jednorazowe, z tworzyw sztucznych, opakowania zbiorcze. Po woli do świadomości ich menadżerów zaczyna docierać że nie były to najlepsze pomysły. Próbuja więc zastępować rozdawane klientom reklamówki z folii torbami materiałowymi. Pojawiły się znowu pojemniki drewniane i metalowe na dostawy. Robią to pod naciskiem opinii publicznej i zaostrzonych przepisów prawnych.

■ Etyka

Roczne obroty działów odzieżowych takich gigantów handlowych jak Walmart, Carrefour, Tesco, Lidl czy Aldi, są porównywane do PKB krajów, które zajmują się szyciem ciuchów. W 2007 roku Tajlandia pod względem dochodów znalazła się między Carrefourem, a Walmartem, Bangladesz zaś między Tesco, a Lidlem. Nie dziwi w takiej sytuacji informacja, że 20 pro-

cent wszystkich mieszkańców Ziemi konsumuje 80 procent produkcji. Takiej nierówności nie da się już łatwo utrzymać.

■ Marnotrawstwo

Konsumpcja dla samej konsumpcji, czyli zakupy dla samych zakupów to także wielki problem marnowanej żywności. Analitycy Organizacji Narodów Zjedno-

czonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) oszacowali, że 1/3 wprowadzonego do sieci handlowych jedzenia idzie na śmietnik. Wyrzucają klienci, bo kupili za dużo, wyrzucają sklepy, bo zamówiły za dużo. W Polsce na śmietniku ląduje 9 ton żywności. Dodajmy do tego, iż codziennie z głodem lub niedożywieniem boryka się ponad miliard mieszkańców naszej planety. Taka dysproporcja robi wrażenie. Jednocześnie warto pamiętać, że do wyprodukowania i przewiezienia żywności, która wylądowała na śmietniku zużyliśmy wodę, której zaczyna na świecie, w tym Polsce, brakować. Doliczmy do tego spaliny, które wyemitowały samochody, którymi je wieziono, nawozy wrzucone w glebę, aby rośliny mogły rosnąć, energię którą zużyli rolnicy i przetwórcy. Na śmietnikach lądują także sprawne aparaty telefoniczne, odzież w dobrym stanie, książki czy meble. Zamiast je wyrzucać można wystawić je na sąsiedzkiej wyprzedaży garażowej lub przekazać organizacji charytatywnej.

■ Zakupy a rodzina

Dzień bez zakupów to także dobry moment na refleksję nad stanem naszej rodziny. Z badań Centrum Zdrowia Dziecka prowadzonych od 15 lat wynika bowiem, że w Polsce dzieci narzekają na brak kontaktu z rodzicami. Zapracowani, nie mają czasu na spokojną rozmowę. Dzieci więc szukają bliskości w sieci. Tam mogą być pozornie anonimowe. Czyha na nie wiele niebezpieczeństw - od pedofilów po dilerów dopalaczy i innych specyfików. Może więc warto zamiast na zakupy pójść w tę jedną listopadową sobotę na wspólny spacer lub zwyczajnie usiąść i porozmawiać? □

Obowiązek pamięci

9.11 Międzynarodowy Dzień Walki z Faszyzmem i Antysemityzmem

■ Kryształowa noc

OTO SYMBOLICZNY hołd ofiarom nocy kryształowej - Żydom, zamordowanym w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku, podczas pogromów w niemieckich Niemczech oraz Austrii. Plany tej akcji, autorstwa Goebbelsa, zaakceptował sam Hitler. Oddziały SS, NSDAP, przeprowadzały akcję demolowania i niszczenia żydowskich świątyń, szkół, sklepów, redakcji, szpitali, przychodni, bibliotek, zakładów produkcyjnych oraz mieszkań. Zniszczono 7,5 tysiąca drobnych firm, spalono 171 synagog i biur organizacji żydowskich. Zamordowano 91 osób a 26 tysięcy wywieziono do obozów koncentracyjnych. Już 12 listopada zaostrzono prawo - żydowskie dzieci usunięto ze szkół, społeczność żydowską obarczono kosztami sprzątnięcia po pogromach, zakazano Żydom wstępu do teatrów, kin i muzeów. W grudniu 1938 roku anulowano wydane im prawa jazdy oraz uprawnienia do wykonywania zawodów lekarza i adwokata. Były to, zdaniem profesora Cezarego Króla, przygotowania do ich fizycznej eksterminacji.

Faszyzm tej nocy udowodnił, że bez antysemityzmu nie byłby spójną ideologią. Wódz III Rzeszy skupił ostatecznie opinię społeczeństwa na odpowiedzialności Żydów za całe ówczesne zło - kryzys gospodarczy, przestępczość, upokorzenie Niemiec po I wojnie światowej, niesprawiedliwe granice. Pornografię i przestępczość seksualną. Byli winni dokładnie wszystkiemu.

■ Polska

Taki osąd dotarł także do Polski. Prym wiedli wpływowi wtedy duchowni rzymskokatolicki, w tym ks. dr prawa kanonicznego **Stefan Wyszyński**. Po II wojnie światowej Prymas Polski. W jego artykule ze stycznia 1938 roku czytamy: „(...) Trudno nie przyznać słuszności twierdzeniom Hitlera, że Żyd pozostał obcym ciałem w organizmie narodów europejskich. (...) Dzisiejsza III Rzesza podjęła tytaniczną próbę realizacji wielkich idei, które mają przynieść odrodzenie ludzkości. (...) Rasizm kryje w sobie pewne zdrowe myśli, które dotychczas znane były tylko w szczupłym gronie lekarzy i biologów. Dziś przyszedł czas na ich rehabilitację”. Nie lepszy był **Maksymilian Maria Kolbe**. Re-

dagowany przez niego Mały Dziennik (najbardziej popularny w II RP) był pełen wulgarnych, antysemitycznych tekstów. Nienawiść do Żydów propagowano nawet na kolumnach sportowych. Dlaczego ludzie dali się uwieść propagandzie? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Pożywką dla tego zdziwienia były popularne w społeczeństwie teorie spiskowe nt. rzekomych zbrodni, jakich w przeszłości i w czasie teraźniejszym mieli dokonywać Żydzi. Wiele przetrwało do dziś, zatruwając umysły ludzi w XXI wieku. Dwie najpopularniejsze to legenda o mordach rytualnych oraz sfabrykowana przez carską Ochranę książeczka pt.: „Protokoły mędrców Syjonu”.

■ Mordy rytualne

Opowieść o rzekomych mordach rytualnych należy do najstarszych społecznych teorii spiskowych. Jedną z pierwszych relacji o tym, że zabijają oni dzieci chrześcijańskie, aby ich krew wykorzystać do wypieku macy pochodzi 1174 roku. Sporządził ją angielski mnich **Thomas z Monmouth**. Według niego w 1144 roku, w miejscowości Norwich znaleziono ciało 12-letniego Wiliama, którego zwłoki nosiły blizny toczenia krwi. Zdaniem mnicha wszelkie ślady prowadziły do Żydów, a grozę wzmacniały szeroko kolportowane zeznania brytyjskiego konwertyty na chrześcijaństwo - Teobalda z Cambridge. Opowiadał, jak to rabin i przywódca żydowski spotykają się co roku w Hiszpanii i losują państwa, w których nastąpi kolejny mord rytualny. Opowiadka była niespójna: najpierw Teobald negował istnienie centralnego komitetu, sterującego mordami rytualnymi, aby później opisać przebieg jego zebrań. Raz pisał, że losowanie odbywało się za pomocą drewnianek, a raz że kart. Niestety pomimo swojej naiwności, spotkała się ona z ciepłym przyjęciem w niemal całej Europie. Zdaniem historyka Joshua Trachtenberga (*„Diabeł i Żydzi: średniowieczna koncepcja Żyda, a współczesny antysemityzm”*), oskarżenia o mord rytualny zbudowały ówczesny wizerunek Żyda-postaci diabolicznej, złowrogiej i przerażającej. Za tym szła fanatyczna nienawiść. Jej finałem były mordy całych gmin żydowskich. Miały one miejsce nie tylko w średniowieczu, (np. w 1325 roku w niemieckim mieście Fulda), ale i w czasach nam bliższych (w 1840 w Damaszku). Rzekomy mord ry-

tualny był jedną z osi antysemitycznej propagandy III Rzeszy. To on stał za pogromem Żydów w Kielcach w 1946 roku. Niestety zdarzają się i dziś politycy, wykorzystujący tę bujną do szerzenia kolejnych bredni. Gustują w tym szczególnie działacze radykalnych ugrupowań islamskich. Bez zmruczenia oka plotą „że Żydzi podczas Paschy robią mace zwane ‘Krew Syjonu’”. Biorą chrześcijańskie dziecko, podcinają mu gardło i zarzynają je... Nigdy nie zapominają o tym rytuale”.

■ Protokoły

Opowieści o mordach rytualnych od 1903 roku zostały wzmocnione narracją polityczną. Tego roku carska Ochra (tajna policja) przygotowała przeróbkę francuskiego pamfletu na Napoleona III oraz polskich antyżydowskich tekstów, przekazaną petersburskiemu pisarce „Russkoje Znamia”. Tytuł: **Protokoły Mędrców Syjonu**. Celem było odwrócenie uwagi od trapiących Cesarstwo problemów społecznych i ekonomicznych. Chodziło też o skompromitowanie rodzącego się ruchu robotniczego. Miał to być zapis obrad tajnej organizacji syjonistycznej. Anonimowi Mędrcy Syjonu (w opracowaniu brak wskazówek, kim są i gdzie obradowali) przedstawiali w 23 wykładach plan przejęcia władzy nad światem, a następnie wprowadzenia totalitarnego ustroju, w którym klasą panującą byłoby Żydzi. Poprzednicy Mędrców mieli inspirować wiele szkodliwych dla zachodniego chrześcijaństwa wydarzeń. Między innymi reformację. Wierzy w tę bajkę np. **obecna prezes Polskiego Radia Barbara Stanisławczyk**. Tekst natychmiast przedrukowano na Zachodzie Europy. Apogeum popularności zyskały na początku lat 20 XX wieku. Ich wydawcy wskazywali, że rewolucja bolszewicka jest jednym z elementów planu Syjonu, gdyż Rosja radziecka to państwo stworzone przez Żydów. Wg protokołów wszystkie kryzysy gospodarcze i konflikty państw (a nawet ten między kapitalistami, a robotnikami) zachodnich inspirowane są przez Żydów. Przejęcie władzy będzie zaś wynikiem zamieszek, spowodowanych przez wywołane sprytnie problemy z dostawami żywności. Jeżeli to się nie powiedzie, przez Europę przejdzie fala zamachów. Niezbyt skomplikowana treść, zredagowana została językiem niewykształconych warstw społecznych. Pomimo tego skutecznie wykorzystywała je III Rzesza do wzmacniania antyżydowskich nastrojów. Były kłamrą zamykającą polityczną antysemityczną narrację niemieckich faszystów. Stały się alibi dla antyżydowskich wystąpień, praw, a w końcu dla poparcia Holocaustu. ■

foto Emmanuel Abémonti



Toaleta publiczna na cmentarzu w Saint-Pierre (Wyspa Réunion)

Nieco reklamy

Agnieszka Abémonti-Świrniak

Przygody Marty



ce dla dzieci. Mama Marty, czyli ja, stworzyła więc jej własny dom, czyli wydawnictwo Renesans, znalazła ilustratorkę o świeckiej filozofii, ciepłym serduszką i świetnej kredce – Dorotę Klewicką. „Marta i lekcja religii” do kupienia niebawem w Tygodniku Faktycznie, szczególnie treści i biografia autorek na <http://renesansmedia.pl/> 

Zabawa z numeru październikowego - odpowiedzi

Maciej Pyrzanowski

